

ECHO ZŁOTORZY

Nr 3 (191) 2023

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pięgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja

Cena: tylko 4 zł

ISSN 1897-4023



Rzucamy cień

Za każdym żyjącym człowiekiem podąża cień. Nie rzucasz cienia – nie istniejesz. Ten cień to wrodzona ludzka niedoskonałość, wpisana w nasze DNA i niewymazywalna. Musimy sobie to uświadomić i zaakceptować. Choćbyśmy nie wiem, jak się starali, nie wydrapiemy z siebie błędów i wypaczeń. Skoro tak już jest, to spróbujmy je polubić.

Ostatnio, robiąc poranną, sobotnią prasówkę zahaczyłam wzrokiem o artykuł o wciąganiu brzucha. Joginka, blogerka, a prywatnie żona Marcina Prokopa rzuciła takie wyzwanie kobietom – uwolnij brzuch! Z wciągniętym co prawda wyglądamy bardziej fit i w ogóle atrakcyjniej, gdy z przodu nie ciąży druga pupa, ale robimy sobie krzywdę, spływając oddech. A to ma swoje negatywne skutki dla całego organizmu. Trzeba oddychać przeponą – tłumaczy joginka i dla ilustracji wrzuca zdjęcia, jak to ma wyglądać, co siłą rzeczy wiąże się z uwolnieniem brzucha, który płaskim jak decha nie jest. Bo umówmy się – większość kobiet w podobnym jak ona wieku ma brzuch i tego się nie wygumkuje ☺. Nawet gumowe majty nie ukryją go dokładnie ☺.

Z zainteresowaniem przeczytałam artykuł, uznałam, że pomysł na uwalnianie brzucha jest całkiem sensowny i byłoby miło, gdybyśmy wcieliły go w życie, co za tym idzie przestały udawać, że brzuch nie istnieje, a jeśli już, to w formie sześciopaku.

Jednak internet rządzi się swoimi prawami i pod artykułami daje wolność wypowiedzi czytelnikom. A czytelnicy, jak to ludzie: są tacy, którym się wszystko podoba, więc milczą, i tacy, którym się nic nie podoba i krzyczą. Pod tym artykułem pojawili się krzyczący. Nakrzyczeli na autorkę, że się lansuje i jest atencyjna, bo pokazuje brzuch, nakrzyczeli na sam brzuch, że gruby, a joginka powinna mieć płaski, nakrzyczeli na jej męża, że ma brzydką żonę, nakrzyczeli na ideę uwalniania brzucha, bo to dopisywanie ideologii do lenistwa i niechlujstwa.

Krzyczeli wszyscy, z trudem przebijałam się przez ten wrzask i tumult, szukając choć jednego głosu, że to dobra myśl, że nie ma co się wstydić brzucha, że kobieta jest odważna, bo pokazała własny, uwolniony... - nie znalazłam.

Nie znalazłam, bo widocznie trafiłam na ludzi płaskich jak opłatek, pięknych jak jutrzeńka, smukłych jak z obrazów Modiglianego – doskonałych, bez cienia.

Nie wiem, dlaczego żyjemy w przekonaniu, że inni mają być bez skazy, nie mają prawa popełniać gaf, błędów, dlaczego naszym fetyszem staje się doskonałość? Częściej cudza niż nasza ☺.

Stąd mania krytykowania każdego i wszystkiego: ja bym to zrobił lepiej, on się na tym nie zna, jak ona się ubrała, mieszkanie mają bez gustu, po angielsku mówi z fatalnym akcentem...

Umówmy się, dopóki żyjemy, rzucamy cień. Jedynym niewybaczalnym cieniem jest świadomie czynione zło.

 Iwona Pawłowska



Człowiek od złota

Jak zaczęła się Twoja przygoda z Bractwem, z płukaniem złota?

Oj to stare czasy, gdzieś w okolicach 1998 roku zostałem przyjęty do Bractwa, aczkolwiek na początku nie płukałem złota. Zajmowaliśmy się od początku obsługą informatyczną mistrzostw. Wydawało mi się wtedy, że wypłukanie z wiadra piachu kilku drobinek złota to jest sprawa niemożliwa. I złożyło się tak, że pojechałem z Bractwem na Mistrzostwa Świata do Australii i musiałem wystartować. Tak zaczęła się przygoda z płukaniem. Okazało się, że to nie jest takie trudne i do dzisiaj się tym paruję.

Co jest takiego fascynującego w złocie, jego płukaniu?

Przede wszystkim jest to taka dyscyplina, którą można uprawiać całą rodziną. I to jest chyba główna wartość. Nie robi się tego dla złota, choć ono też jest samo w sobie bardzo ciekawe. Natomiast płukanie jest okazją do spotkania się z przyjaciółmi i znajomymi, i do podróży. Dzięki uczestniczeniu w zawodach miałem okazję zwiedzić całą Europę i kawałek świata.

Liczyłeś, ile złota wypłukałeś?

Nie, nigdy tego nie liczyłem.

Nie zbierasz fiolek z wypłukanymi drobinami?

Nie mam ich, bo wszystko, co uda mi się wypłukać, w ramach promocji rozdaję ludziom. Zawsze jakąś fiołkę ze złotem mam przy sobie i kiedy jest okazja, by komuś zareklamować Złotoryję, to wręczam mu taki prezent. Zwykle robi to wrazenie. Mój syn, który też od pewnego czasu zajmuje się płukaniem złota, łączył około 10 gramów. Jednak kilka lat temu podczas Mistrzostw ktoś nam ukradł złoto przygotowane do zawodów i wtedy mój syn poratował nas swoim złotem.

Wyjaśnij mi, dlaczego w nazwie macie kopacze złota, a nie płukacze, przecież nie kopiecie go, tylko wypłukujecie z piasku.

Mój poprzednik, który stworzył to sto-

warzyszenie w 1994 roku – Jan Kusek – próbował wymyślić coś, co nas jednoznacznie wyróżni a będzie związane z historią miasta. W średniowieczu kopano złoto, nie płukano, więc stąd ta nazwa Bractwa.

Jak wasze Bractwo jest odbierane w Polsce?

Przede wszystkim wzbudzamy ciekawość. Ludzie często już o nas słyszeli, a kiedy mają okazję zobaczyć, co robimy, zobaczyć drobinę wypłukanego złota, a nawet je sobie wziąć, to wzbudza bardzo duże zainteresowanie. Tak jak ostatnio, gdy pod koniec roku byłem na jubileuszu prywatnej firmy i gdy uczestnicy dowiedzieli się, że jestem ze Złotoryi i zajmuję się płukaniem złota, to musiałem obejść kilka stolików i pokazywać fiołki ze złotem, opowiadać o Złotoryi, Bractwie, złocie i technice płukania, bo wszyscy byli ciekawi.

Jeszcze ciekawszą sytuację opowiedział mi kolega, który wrócił z dalekiego kraju. Zapytano go podczas spotkania, skąd przyjechał, odpowiedział, że z Polski. Okazało się, że pytający nawet orientował się, gdzie leży Polska (co nie jest oczywiste, bo nasz kraj często mylą z Holandią), a potem dopytywał, skąd konkretnie, więc on – sądząc, że nazwa Złotoryja nic nie mówi człowiekowi – że mieszka 20 kilometrów od Legnicy. Obokrajowiec nie bardzo kojarzył, gdzie to jest, więc kolega mówi, że to niedaleko Wrocławia. Wrocław też okazał się obcy pytającemu, więc zrezygnowany



mówi: „tak konkretnie to jestem ze Złotoryi”. „A, trzeba było tak od razu, Złotoryję to znam, to tam złoto płuczenie. Widziałem to w telewizji.” – ucieszył się człowiek z dalekiego kraju.

Tak, że widzisz, Złotoryja jest rozpoznawalna, dzięki złotu, nie tylko w Polsce.

Podczas zawodów uczestnicy mistrzostw wypłukują złoto z piasku, do którego wcześniej wrzucacie określoną liczbę drobinek kruszcu. Wszystko jest pod kontrolą i aranżowane na potrzeby zawodów. A czy udało Ci się kiedyś wypłukać złoto z rzeki, w sposób – jakby tu określić – naturalny?

Tak. W naszej okolicy jest złoto i ta naturalna obecność złota jest warunkiem, żeby przystąpić do Światowej Federacji Płukaczy Złota, do której należymy. Złoto jest w rzece i bardzo często z przyjaciółmi, jak jest piękna pogoda, spotykamy się nad wodą przy grillu, kiełbasce i płuczemy złoto.

Przynosi to efekt?

Przynosi. Ostatnio, w zeszłym roku, zorganizowaliśmy we współpracy z wójtem Pielgrzymki Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota w Rzece na Skorze. Mamy nadzieję, że będzie to impreza cykliczna. Na początku towarzyszyły nam pewne obawy, czy zawodnikom uda się znaleźć złoto, bo jak nie, to będzie kłapa i blamaż. Ale na szczęście zawodnikom dopisał fart i podczas dwóch dni zawodów wypłukali z rzeki ponad 1800 drobinek złota. A tam nikt nikomu niczego nie dosypywał do piasku. To było naturalnie występujące złoto na naszych terenach.

Dlaczego zawody zrobiliście na Skorze a nie na Kaczawie?

Na złotoryjskim odcinku Kaczawy tego złota jest bardzo mało, na Skorze jest większa szansa na wypłukanie drobinek.

Te drobiniki znalezione w sposób naturalny w rzece mają różną wielkość. Nie jak te dosypywane do wiader piasku podczas tradycyjnych zawodów?

Tak. Te naturalnie pozyskiwane z rzeki najczęściej mają postać pyłu, choć zdarzają się i większe drobiniki a największa ujawniona wypłukana drobiną miała wagę około 2 gramów. I to właśnie był efekt takiego towarzyskiego płukania, kiedy żona jednego z członków Bractwa chciała spróbować. Mąż jej wrzucił na miskę trochę piasku z rzeki i ...udało się.

Sam jestem właścicielem uratowanego przed przetopieniem ośmioośmiogramowego samorodka z okolic Złotoryi. Odkupiłem go od znalazcy, który podczas szukania wykrywaczem metali monet,

natknął się na polu ten samorodek. Na początku myślał, że to nic niewart metal, ale po umyciu go, zrozumiał, na co natrafił, oddał do jubilera do wyceny, a ja, dowiedziawszy się o tym, namówiłem znalazcę na odsprzedaż mi tego złota.

Mówi się, że piasek w pobliskich żwirowniach też zawiera złoto.

Tak. Dlatego do zawodów przywozimy piasek z daleka, bo w 2011 roku zdarzyła się sytuacja, że właściciel żwirowni przywiózł nam ponad 20 ton żwiru na zawody (tyle zazwyczaj zużywamy podczas zawodów) i podczas pierwszych prób okazało się, że jest w nim złoto naturalne. Musieliśmy ten piasek wywieźć z powrotem i zastąpić go innym, z dalszych rejonów.

Potem zrobiliśmy badania w tej żwirowni i okazało się, że być może, gdyby właściciel zajął się pozyskiwaniem złota z piasku, zrobiłby lepszy interes niż ze sprzedaży żwiru.

Oplaca się brać udział w zawodach w płukaniu złota? Pytam o wymiar materialny. Można na tym zarobić?

Na pewno to, co wypłuczemy, nie zwróci nam kosztów pakietu startowego ani podróży. Ale trzeba na to patrzeć inaczej. Każdy z nas spędza gdzieś wakacje, bardzo często za granicą. Gdy jedzie z biurem podróży, to płaci więcej niż my, organizując nasze wyjazdy na własną rękę. Zwykle połowę mniej. Korzystamy z pomocy miejscowych płukaczy, tak jak i my pomagamy im jak przyjadą do nas. Mistrzostwa trwają 5 dni, a my jedziemy zazwyczaj na dłużej i zwiedzamy dany kraj. Poznajemy go czasem lepiej, a na pewno inaczej niż z biurem podróży. Największy koszt udziału w zawodach poza granicami kraju to transport, przeloty.

Wspominałeś na początku, że dzięki płukaniu złota byłeś w Australii. Jakie inne ciekawe miejsca zwiedziłeś jako uczestnik zawodów?

Całą Europę. Byłem w Finlandii, Norwegii, w Szwecji, we Włoszech, na Słowacji, w Czechach, w Niemczech. Byłem też w RPA. W tym roku też Bractwo wybiera się do Południowej Afryki na Mistrzostwa Świata. Kiedy tam byłem ostatnio, byłem zachwycony. To zupełnie inna kultura. Ludzie też inni, pełni spontaniczności. Chętnie śpiewają i tańczą. Byłem też pozytywnie zaskoczony warunkami, w jakich mieszkaliśmy. Za grosze. Tę podróż wspominał najlepiej.

Co jest najtrudniejsze w organizacji Mistrzostw?

Najtrudniej zebrać ludzi do pracy, do wolontariatu. Jest coraz ciężiej i to jest bolączka wszystkich organizatorów. Ludzie pracują, nie mają czasu na dodatkowe zajęcia. Kiedy 11 lat temu organizowaliśmy Mistrzostwa Świata, panowało jeszcze bezrobocie i ludzie chętniej garnęli się do pomocy. Teraz już jest inaczej. Członkowie Bractwa biorą dwa tygodnie urlopu, bo muszą poświęcić się bez reszty. Drugi problem to pieniądze. **Ile kosztują takie Mistrzostwa?**



Jest to bardzo kosztowna sprawa i bez wsparcia miasta, sponsorów, których mamy kilku zaufanych i którzy nam ufają, nie moglibyśmy sobie na to pozwolić. **Co jest najdroższe?** Złoto. Kupujemy je z różnych krajów, np. z Finlandii, Włoch, Niemiec, Szwajcarii. Przy organizacji zawodów rangi mistrzostw świata to wydatek około 50 tysięcy złotych.

Jakie recenzje docierały do Ciebie po ostatnich Mistrzostwach?

O dziwo Mistrzostwa oceniono bardzo dobrze, ze strony zawodników zebraliśmy masę gratulacji, nawet federacje, które zwykle mam trochę zazdroścą, które zawsze w samej organizacji potrafią znaleźć jakieś potknięcia, chwaliły nas za wspaniałą organizację. Prezydent Światowej Federacji był zachwycony tym, co wydarzyło się w Złotoryi. A teraz sam się boi, bo w tym roku to u niego w RPA są Mistrzostwa Świata i nie wie, jak dorównać Złotoryi. To cieszy, ale najbardziej cieszy mnie duża ilość pochwał, jakie zebraliśmy od samych złotoryjan. W dużej mierze robimy to dla mieszkańców stolicy polskiego złota.

Mówisz, że macie problem z pozyskaniem ludzi do pomocy. A co z mło-

dzieżą? Czy macie w swoich szeregach młodych ludzi?

Jak rozmawiam z innymi stowarzyszeniami na terenie Złotoryi, to wszyscy mówią, że z młodymi jest coraz trudniej. U nas w Bractwie tych młodych ludzi troszeczkę jest. Ale rośnie pokolenie fejsbuka, które w sieci toczy swoje życie i rzadko chce wychodzić do ludzi.

Co robicie, by ich do siebie przekonać? Myślę, że dla młodych atrakcyjne mogą być wyjazdy na zawody, szczególnie za-



graniczne. Pieniądzy im zaoferować nie możemy, jesteśmy organizacją non profit.

Spotkałeś się z opinią, że jesteście organizacją bardzo hermetyczną?

Tak, to pokutuje od początku. Jednak sama nazwa Bractwo, wskazuje, że jest to grupa, do której niełatwo się dostać.

To jak się można dostać do Bractwa?

Najpierw trzeba trochę popracować jako wolontariusz, czyli trochę potrenować. Brać udział w pracach stowarzyszenia i dobrze byłoby nauczyć się płukać złoto. Dzięki takiemu podejściu jak ktoś już do nas się dostaje, to zostaje u nas na długie lata.

Ale chyba nie ma wśród was ludzi, którzy nie umieją wypłukać złota?

No nie, chyba ja byłem najdłużej osobą, która tego nie robiła, bo dopiero po trzech latach się nauczyłem.

Jak nauczyć się płukać złoto?

A zapraszamy, organizujemy szkółki płukania złota. Jest to bardzo proste wbrew pozorom. Praktycznie wystarczy miska, trochę żwiru, trochę złota. Na początku stosujemy tzw. miski złotoryjskie, które mają dość szerokie progi, na nich nie płucze się szybko, ale nie gubi się ziare-

nek. I są do opanowania dwa rodzaje ruchów, jeden – potrząsanie żwirem, drugi ruchami okrężnymi spłukiwanie żwiru z wierzchu. I tak na przemian. Na początku nie płucze się szybko. Do szybkiego płukania już jest inna miska, ale im szybciej się to robi, tym więcej strat w złocie.

Co z tym złotem, które utknie w żwirze i nie zostanie wypłukane przez zawodników?

Dużą część odzyskujemy, bo ten żwir wysypujemy w sobie znanym miejscu i potem, nie śpiesząc się, wypłukujemy z tego piachu.

Jaki jest rekord świata w płukaniu złota?

35 sekund całe wiadro z kompletem drobinek. Należy do Polaka, z pochodzenia złotoryjanina Darka Michalskiego.

Planujecie kolejne Mistrzostwa Świata?

Po każdym Mistrzostwach mówimy, że już nie, że jesteśmy zmęczeni, chcemy odpocząć, ale z biegiem czasu wraca ochota. Tym bardziej, że kiedy jeździmy po świecie na zawody, ludzie tam dopytują się, kiedy robimy coś u nas.

To co teraz macie w planach?

Teraz mamy o tyle fajnie, że jest Złota Arena i jesteśmy przygotowani tak, że możemy robić zawody choćby zaraz. Są jakieś przymiarki, by zorganizować Mistrzostwa Europy za dwa lata. Zobaczymy.

Miło Ci było, gdy dowiedziałeś się, że zostałeś Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej 2022?

Bardzo.

Wiesz, że od teraz zasiadasz w Kapitułe CZZ i to Ty będziesz współodpowiedzialny za kolejne wybory i będziesz musiał zmierzyć się czasami z bardzo surową opinią społeczną?

Tak, mam nadzieję wybierać jak najlepiej, zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności i jestem nawet gotów znieść z tego powodu hejt. Do hejtu ja i Bractwo jesteśmy przyzwyczajeni. Zresztą to tak jest, że ktokolwiek coś robi czy zawodowo czy społecznie, mierzy się z tym, co ludzie wypisują w internecie. O dziwo po tych wyborach nawet nie było tak źle.

Gratuluję Ci raz jeszcze zdobytego tytułu i życzę wytrwałości w dalszych działaniach.

Ze Zbigniewem Soją, Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej 2022 rozmawiała Iwona Pawłowska

Zasłużony dla miasta



Na wniosek Burmistrza Miasta Roberta Pawłowskiego decyzją Rady Miejskiej 30 marca 2023 roku Honorowym Obywatelem Miasta został profesor Andrzej Grodzicki, który ma już swoje miejsce na Alei Żłoty Ludzi. Profesor jest petrografem i gemmologiem, od lat 50. Związany jest ze Złotoryją i złotoryjskim złotem.

Kilka dni przed tą uroczystością złożyliśmy wizytę profesorowi w Dusznikach Zdroju, gdzie obecnie przebywa w Domu Seniora. Niestety, ciężka choroba, która dość mocno nadwładziła siły pana Andrzeja Grodzickiego pozwoliła tylko na krótką rozmowę.

Kiedy Pan pierwszy raz usłyszał o Złotoryi?

Już minęło 70 lat, od kiedy poznałem miasto. Od zawsze interesowałem się złotem, ale wtedy, w latach 50. nie bardzo wiedziałem, jak się to złoto płucze.

W tamtym czasie raczej nie mówiło się o Złotoryi w kontekście złota?

Nie, nawet nie bardzo wierzono, że złoto tutaj jest. Bardziej kojarzono miasto i jego okolice z miedzią.

Wiem, że w pewnym momencie Złotoryja stała się interesująca dla Pana już jako naukowca.

Tak, w 1956 roku przyjechałem prowadzić tu badania naukowe. Namówił mnie na to mój profesor. Złotoryja to

były ruiny, dziesięć lat wcześniej przechodziła przez miasto wojna i widać było jeszcze jej ślady. Pamiętam do tej pory gruzu na ulicy Matejki.

I przyjechał Pan do zrujnowanego miasta po złoto.

Mieszkańcy miasta byli mocno zdziwieni, że przyjechałem tu w poszukiwaniu złota. Nawet wyśmiewali się ze mnie, ale ja to przyjmowałem ze stoickim spokojem. Tak jak mówiłem, wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak się za to złoto fachowo zabrać. Dopiero jeden z mieszkańców, który przeżył wojnę na Kołymie a tu obserwował mnie w tych nieudolnych poszukiwaniach, poinstruował, jak się wypłukuje złoto.

Udało się wtedy coś znaleźć?

Na początku nie, ale z biegiem czasu coraz łatwiej mi przychodziło płukanie złota. Pierwsze znalezione drobin-

dopingowały do dalszych poszukiwań. To niesamowite wrażenie, kiedy człowiek po raz pierwszy znajdzie złoto. Byłem chyba pierwszy, który to w Złotoryi robił. Potem przerzuciłem się na rejony Lwówka, Legnickiego Pola i Wądroża Wielkiego.

Jednak to ze Złotoryją łączy Pana Profesora największe więzi. Był Pan jednym z ojców naszych płuczek.

Tak, byłem współinicjatorem pierwszych Mistrzostw w 1994 roku. Choć słyszałem, że w latach 70. był chyba taki epizod z płukaniem złota, ktoś wtedy organizował zawody [ówczesny OSIR i Józef Zatwardnicki – dop. red].

Podczas Mistrzostw w 1994 roku Pan płukał złoto?

Tak. Oczywiście. Zresztą to tak naprawdę ja naszych płucaczy uczyłem, jak to się robi. Bez zrozumiałstwa powiem, że byłem pionierem płukania złota. W nauczaniu innych pomagał mi Wiesław Choragwicki, który już uczestniczył w Mistrzostwach Świata w Finlandii. A potem złotoryjscy płucacze uczyli innych.

Dlaczego profesor zainteresował się złotem?

Już od dziecka fascynowało mnie złoto. Jest bardzo tajemnicze. Miałem 3 lub 4 lata jak oglądałem z zainteresowaniem biżuterię moich ciotek. Do dziś pamiętam nawet kamienie w ich pierścionkach. Szczególnie akwamaryn należący do jednej z krewnych. Kamień w kolorze jej oczu. Zwracałem uwagę na to, co noszą goście, którzy do nas przyjeżdżali, utkwili mi w pamięci szafirowy kaboszon otoczony diamentami u jednego z mężczyzn. Pamiętam broszki, kamee...No i złoto. A o złocie można by długo opowiadać, a ja już nie mam siły. Jestem już coraz słabszy.

Ze względu na złoto wybrał Pan taki kierunek studiów?

Szczególnie interesowały mnie kamienie, szlachetne i półszlachetne.

Złoto Pan znalazł, a szlachetne kamienie?

Oczywiście też. Przy okazji płukania złota znajdowałem, rzecz jasna drobne szafirowy, opale, topazy, rubiny, ametysty, agaty.

I to wszystko w naszej okolicy?



Tak. Złotoryja to wyjątkowe i wspaniałe miasto, nie tylko ze względu na złoto i kamienie. Tylko niedocenione. A trzeba docenić tę ważną przeszłość miasta, w końcu książęcego i najstarszego w Polsce. Po tych ulicach chodzili wielcy ludzie.

Z prof. Andrzejem Grodzickim rozmawiała Iwona Pawłowska

Pan profesor Andrzej Grodzicki ze względu na stan zdrowia nie był obecny na uroczystości nadania mu Honorowego Obywatelstwa Miasta.

Z biura koordynatora...

Kiedy po raz pierwszy dane było mi opublikować artykuł na łamach Echa Złotoryi (nr 10, 2022), znalazłam się na samym początku mojej przygody z Geoparkiem Kraina

Włodarze gmin podpisali deklaracje pracy w Radzie Geoparku. Tym samym stawiamy pierwsze formalne kroki na drodze do wypełnienia rekomendacji otrzymanych od Rady Międzynarodowej Sieci Geoparków UNESCO. A ja mam ważne spostrzeżenie - takie spotkania powinny być jak najbardziej otwarte i zapraszające do uczestnictwa wszystkich zainteresowanych budowaniem Geoparku, bo jest ich tak wielu!

Właściwie już na drugi dzień ruszam w inspirujące

gmina kryje w sobie skarb na miarę UNESCO - Wieżę książęcą w Siedlęcinie. Ten minimaraton pomiędzy 14 gminami uświadamia mi, jaki drzemie w nich potencjał i jak ciekawe zasoby skrywają, ale także jakie są ich potrzeby i oczekiwania wobec Geoparku.

Ale nie samymi samorządowcami człowiek żyje! Jeszcze więcej czasu spędziłam na spotkaniach z mieszkańcami naszego regionu. Poznałam tak wielu ciekawych, kreatywnych, przedsiębiorczych i pełnych pasji ludzi. Nie da się zapomnieć bohaterów domu z Chatki Zimorodka (Proboszczów), bratnich dusz z Ptasiej Doliny (Nowa Wieś Wielka) i wspaniałych artystów, edukatorów, przyjaciół z Kaczawskiej Sieci Współpracy, od lat działających na rzecz edukacji o Krajinie Wygasłych Wulkanów, a także programistów - autorów aplikacji



Tyczymy Szlak Geoparku Krajinie Wygasłych Wulkanów...



...i testujemy go na własnej skórze.

Kaczawskie Klimaty. Podziwiam współczesne szkło artystyczne w galerii sztuki wysokich lotów z widokiem na wulkan, czy też Zamek Grodziec, czyli Versus Studio&Art Gallery. Coraz bardziej otwierają mi się oczy na wielki wkład w rozwój regio-

Wygasłych Wulkanów. Pisałam o tym, jak postrzegam rolę tej inicjatywy w działaniach na rzecz ochrony, edukacji i promocji turystyki naszego regionu. Zapowiadałam też, jakimi działaniami będzie zajmować się przez najbliższe miesiące biuro koordynatora Geoparku utworzone w Urzędzie Miasta Złotoryi. Dziś, po prawie pięciu miesiącach od tego dnia, warto zatrzymać się na chwilę, spojrzeć wstecz, aby zobaczyć, co się udało i jakie nowe projekty z tego wyniknęły.

Podejmijmy zatem wątek tam, gdzie go ostatnio przerwaliśmy. Jest 9 listopada minionego roku. Na Zamku Grodziec (dziękujemy Panu kasztelanowi i Pani wójt za gościnę) po raz pierwszy dochodzi do spotkania nowego koordynatora z wójtami i burmistrzami 14 gmin wchodzących w skład Geoparku. Podpisujemy porozumienie o współpracy z księdzem Tomaszem Stawiakiem z kościoła Pokoju w Jaworze (dwie dekady na Liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO), który zresztą wygłosił świetną przemowę pokazującą, że warto starać o przysta-

nu jego mieszkańców i na ich potrzeby. A czego chcą? Jasne, że chcą móc utrzymać się wykonując pracę z pasją i wkładając w nią całe serce. Ale chcą też, aby Kaczawy pozostały dziewicze, nieco dzikie, wciąż tajemnicze i zawsze nie do końca odkryte. To ważny głos w tej dyskusji.

No ale czas zabrać się do solidnej pracy! Wspólnie tyczymy przyszły Szlak Geoparku. To będzie wiewielka pętla. Ale będzie też druga, mała. Myślmy o różnych potrzebach. Także o potrzebie odpowiedniego rozproszenia ruchu turystycznego, kiedy już zaleje nas wielką falą. Pamiętajmy też o przedsiębiorcach - warto, aby obok restauracji i pensjonatów przeszły rzesze turystów.

Udaje się dopiąć porozumienia z organizatorami Castle Party Festival. Statystyki ruchu turystycznego pokazują, że to właśnie zamki przyciągają w tej chwili najwięcej turystów do naszego regionu. A przy tej okazji jest ich prawdziwy najazd. To świetny moment, aby o Geoparku dowiedziała się cała Europa. Musimy im coś dać. Coś, co zachęci ich, aby podczas kilku dni festiwalu odkryć inne walory Geoparku. Coś, co będą chcieli zabrać ze sobą z powrotem w świat. Coś, co sprawi, że będą chcieli wrócić... A skoro mamy już Geopark - Land of Extinct Volcanoes, damy im Geopark - Land of Gothic. Tak! Nasze perły architektury gotyckiej mówią kolokwialnie, sprawią, że opadną im szczęki. Dlatego tworzymy szlak gotycki.

Oczywiście opowiadamy o tym wszystkim na bieżąco - o Geoparku słyszycie na antenie Radio Wrocław, Radio Plus Legnica, Radio Złote Przeboje i oczywiście Radio Zamek Nadaje, czytacie regularnie na łamach Echa Złotoryi. A na naszej drodze kolejne złote jabłka. Okazuje się, że uznany fotograf, autor kilkunastu albumów ukazujących najpiękniejsze zakątki Polski w sposób niezwykle czuły, po wielu wędrówkach, postanawia osiąść w najstarszym mieście Polski. To Mikołaj Gospodarek - świeżo upieczony złotoryjanin, który bez wahania zgodził się przeprowadzić warsztaty dla pracowników gmin. Z wdzięczności za gościnę w

wiedzialnym za turystykę i promocję okazję do zdobycia nowych umiejętności pod okiem Mikołaja.

Tymczasem nie umknęła naszej uwadze publikacja książki - powieści "Tarnina", która pewnie przewrotnie, staje się największą reklamą, jaką mogłoby zyskać Pogórze Kaczawskie. Po tak malowniczych opisach trudno sobie wyobrazić, żeby czytelnicy nie chcieli doświadczyć Kaczaw na własnej skórze. Marta



Kopalnia Złota staje po stronie Złotego Miasta

Kucharska nie szczędzi nam spotkań, podczas który możemy wypytywać ją o ukryte pod pseudonimami kaczawskie wsie i miasta, a zaczyna od Miejskiej Biblioteki Publicznej w Złotoryi.

Wreszcie udaje się podpisać formalne porozumienia z nadleśnictwami, na których terenie leży Geopark. Kolejny "ptaszek" na liście rekomendacji i furtka do następnego. Chodzi o potrzebę aktywizacji młodzieży. Pada hasło "GEO-Rangers". Brzmi tajemniczo? A co, gdyby tak nasi młodzi Rangersi przemierzali kaczawskie szlaki, udzielając przy tym informacji turystom czy agituując za rozsądnym korzystaniem z zasobów regionu? Nadleśnictwo Złotoryja jest zainteresowane. Pozostali są gotowi udostępnić swoich edukatorów. Trzeba zakasać rękawy i wcielać pomysły w życie.


Zanim to jednak nastąpi, pełni obaw

wyruszymy ze "złotego miasta" w "złote góry". Docieramy do Kopalni Złota w Złotym Stoku. Choć tabliczka na drzwiach do biura właścicielki, Eli Szumskiej, nie napawa optymizmem, wprost upraszając o niemarowanie cennego czasu urzędującej w owym biurze ... Wszak to kobieta sukcesu, z listy Forbesa, nagrodzona European Heritage Award, jeden z największych pracodawców w Kotlinie Kłodzkiej... Raz się żyje, przekraczamy próg i opowiadamy. O czym? Geoparki UNESCO realizują cele Agencji 2030 na rzecz zrównoważonego rozwoju, wśród 10 najważniejszych wskazujących prawa kobiet. A u nas mieszkają i tworzą niesamowite kobiety! Ela, słysząc ich historie, mówi bez cienia wątpliwości - będę ambasadorką waszego projektu. Wracamy z tarczą! W głowie pomysły na reportaże, na spotkania mentoringowe z prawdziwego zdarzenia. Szukamy chętnych kobiet, działamy. Zbliża się wiosna, a my piszemy międzynarodowy projekt. Działamy z Geoparkiem Czeski Raj. Mamy ambicje na coś dużego. Jeśli uda nam



W Czeskim Raju pracujemy nad nowym projektem

się sięgnąć po środki z programu Interreg, będziemy mieli finansowanie na realizację wielu ciekawych inicjatyw. Czekać na decyzję trzeba realizować zapoczątkowane działania, bo ... mamy już całą listę nowych! A wszystkie narodziły się po spotkaniach z Wami - mieszkańcami, społecznikami, artystami, przedsiębiorcami, wójtami, burmistrzami i edukatorami. Dziękujemy Wam za ten wspólny czas i jesteśmy gotowi na więcej. A Wy?

 Katarzyna Sielicka



W Złotoryi zawsze dzieje się coś nowego! Niedawno zawitała do nas manga. Znany serial „Naruto” stał się inspiracją loga i nazwy założonego na ul. Wojska Polskiego 1D „Konoha Bar”. Dwie dziewczyny: Angelika Jabłońska i Monika Sobczak, niczym główny bohater serialu: nastolatek Naruto Uzumaki, szukają uznania i szacunku w swojej „wiosce”. Wioska w serialu to „Konohagakure no Sato” znana jako „Wioska Ukryta w Liściach”. To wioska położona w „Kraju Ognia”. Brzmi znajomo? Serialowa „Konoha” położona jest w głębi lasu, tuż u podnóża góry znanej jako „Skała Hokage”. Złotoryjska „Konoha” położona jest u podnóża góry zwanej „Wilkołak” w „Krainie Wygastłych Wulkanów”. Umówiłam się z Właścicielkami „Konoha Bar” i oto, co usłyszałam:

„Jesteśmy wielkimi fankami mangi i serialu „Naruto”, który uczy przyjaźni, szacunku do samego siebie i tego, że w życiu można wiele osiągnąć, niekoniecznie posiadając magiczne moce. Nawijając do kuchni orientalnej, chcieliśmy przyciągnąć młodych ludzi i dać im szansę poznania nowych smaków. Ale nasza kuchnia przyciąga nie tylko młodzież, wszyscy złotoryjanie są jej ciekawi.

- **Monika:** Zakochałam się w kuchni azjatyckiej, gdy pracowałam w barze sushi. Angelika namówiła mnie, żeby dać złotoryjanom coś nowego.

- **Angelika:** Mam 10-letnie doświadczenie w pracy w gastronomii, z którą związana jestem od najmłodszych lat. Jako dziecko mieszkaliśmy w hotelu, bo mama zabrała mnie ze sobą, kiedy mieszkała i pracowała w Niemczech. Mogłam od środka obserwować, jak funkcjonu-

je życie w hotelu i jego kuchni. Obserwowałam i uczyłam się jednocześnie. Tak mnie to zafascynowało, że jako nastolatka rozpoczęłam pracę w hotelarstwie i gastronomii. Pracowałam za granicą: w Austrii, Niemczech i w polskich Karkonoszach. Swoje doświadczenie przy otwartej kuchni, tak jak my to robimy teraz, zdobywałam w zamku „Topacz” pod kierownictwem szefa kuchni Rafała Borysa, który pracował w restauracjach oznaczonych gwiazdką Micheli- na i poznawał kulinarne tajniki od Gordona Ramsaya i Alberta Roux w londyńskich restauracjach. Miałam też przyjemność pracować z Beatą Śniechowską, zwyciężczynią 2. Edycji polskiego „MasterChefa”. W końcu przyszedł czas na to, że zdecydowałam się na własną działalność. Nie wybierałam pracy w restauracji ze względu na zarobki, tylko pod względem nauki. Zaczynałam od kelnerowania, później byłam już menagerem, sprzedawałam też bardzo dużo wina. Całe swoje dotychczasowe życie poświęciłam pasji gotowania i winiarstwu. W jednej restauracji menager, testując moją wiedzę kulinarną, niedowierzał, że w tak młodym wieku można tyle wiedzieć. Pytał mnie np. czym się różni barszcz biały od żurku. Odpowiedziałam, że żur robi się na zakwasie żytnim a barszcz biały zabiela się mąką albo dodajemy pszenny zakwas, żeby wydobyc jego kwasowość. Nie mógł uwierzyć, że mam tyle wiedzy kulinarnej. Przeżyte doświadczenia zainspirowały nas do stworzenia w Złotoryi, gdzie się wychowywałyśmy i którą kochamy, nowoczesnego miejsca, w którym goście będą widzieli, jak powstają nasze dania i skąd pochodzą produkty wchodzące w

ich skład. W niektórych restauracjach, w jakich pracowałam, obowiązujące tam standardy nie odpowiadały mi. Dlatego postanowiłam stworzyć własne, budujące kulturę gastronomii w inny lepszy sposób. Złożyłam w całość technikę kulinarną i smakowe doznania, jakie poznałam z poprzednich miejsc pracy i oto jesteśmy. Staramy się, żeby dania wychodzące spod naszych rąk były smaczne, świeże i estetycznie podane. Krótko mówiąc, takie, jakie my chcielibyśmy zjeść. Goście, chwając naszą kuchnię, podkreślają, że świeżość jest tu kluczowa i dlatego wracają do nas. Otwierając ten bar, nie liczyliśmy na „masówkę”. Wiemy, że nasi klienci, jeżeli coś jest dobre, to przekażą wiedzę o tym dalej, a jak coś nam nie wyjdzie, to opiszą to na forum. Dlaczego nie zrobiliśmy na początku banneru reklamowego?

Ważną kwestią było zbudowanie perfekcyjnego zespołu. Wcześniej razem nie pracowałyśmy, dlatego zdecydowałyśmy się, żeby bez zbędnego rozgłosu zainaugurować naszą działalność i ocenić, jak będzie się nam razem pracować. Pierwsi goście, którzy do nas przychodzili próbowali tego, co robimy, a my uczyliśmy się dzięki temu współpracy w kuchni i ustaliłyśmy nasze role. Ważne są dla nas dobre relacje. Wszyscy jesteśmy wobec siebie równi i obie pełniemy w naszej kuchni rolę szefowych.

- **Monika:** Moją specjalnością są nudle oraz wietnamska zupa Pho. Według oryginalnego przepisu gotuje się ją na kościach, ale my dajemy gościom wybór, biorąc pod uwagę ich preferencje, czy wolą coś mięsnego, czy „wege”. Do makaronu Udon wykorzystujemy grzyby shiitake, które mają smak umami. Dodatkowo są tam marchewka, kapusta i kiełki fasoli mung. Udon jest trochę grubszy i tworzy z tymi wszystkimi smakami ciekawą strukturę dania. Makaron przyjeżdża do nas świeży od dostawcy, nie kupujemy go w znanych supermarketach. Wyrabia się go z tapioki i mąki pszennej. Pewnego razu, gdy się nam skończył, próbowałyśmy go zastąpić kupnym, ale kompletnie się nie nadawał do naszego dania, był zupełnie inny po ugotowaniu. Udon musi być ugotowany al dente, mieć mocny, wyrazisty smak i mięsistą strukturę.

- **Angelika:** Oryginalne chińskie bułeczki „bao” są bułeczkami nadziewanymi i parowanymi w kopule bambusowej. Podążając za nowoczesnymi trendami, dodajemy do nich farsz już po etapie parowa-

nia. Przypominają one swoim kształtem burgera, który jednak jest trochę oklepany, więc my stworzyliśmy jego azjatycką wersję. Mamy też w ofercie curry boczniakowe z dodatkiem kurczaka lub tofu. To danie smakuje inaczej niż znane nam curry indyjskie. Doprawiane jest inną kompozycją przypraw typowych dla kuchni azjatyckiej (trawa cytrynowa, liście limonki, chili, imbir). My działamy na paście curry, a nie na proszku.

Ja jestem straszną gadułą, dlatego poza gotowaniem przejęłam rolę odbierania zamówień. Poza tym, bardzo lubimy rozmawiać z naszymi gośćmi i przede wszystkim jesteśmy tutaj dla nich. Rozmawiamy z nimi w trakcie pracy i o tym, jak przyrządzamy potrawy, i tym się cieszymy. Jeżeli po spróbowaniu dań przed wydaniem uznamy, że coś nam nie wyszło, to uprzedzamy o tym klientów, proponując w zamian coś innego. Szczepnie przyznajemy się do naszych potknięć, bo chcemy, aby ludzie mieli do nas zaufanie. Cieszy nas każda osoba, która tutaj wchodzi, a jeszcze bardziej nas cie-



szy, kiedy tu wraca. To daje nam energię do działania.

Od środy nasz lokal jest otwarty dla gości, ale zaczynamy we wtorek, żeby mieć wszystko przygotowane. Pracujemy do godziny pierwszej w nocy, żeby przygotować wszystko na kolejny dzień. Kuchnia „slow food” to przygotowujemy składników przez wiele godzin. Bullion, jako baza pod zup, które oferujemy, musi sobie powoli pyrkać od 4 do 5 godzin, więc to nie może być na już i zaraz. Tak samo karczek. To nie jest plaster mięsa, który w parę minut się podsmarzy i można go wydać. Musi najpierw poleżeć w zalewie, potem jest obgotowywany, obsmażany i na koniec duszony. To musi trwać parę godzin, bo ina-

nie spełniałoby naszych standardów. I to jest bardzo ważne. Inspirujemy się sprawdzonymi przepisami japońskich szefów kuchni, ale modyfikujemy je, tworząc własne dania bazujące na zdobytych przez nas doświadczeniach. Ciągłe jesteśmy na bieżąco w zmieniających się trendach japońskiej kuchni, a to nie jest łatwe. Produkty do naszych dań są przede wszystkim świeże. Wszystko przygotowujemy na miejscu, począwszy od sosów i marynat, po mięso. Sosy majonezowe, chili, słodko-ostry lub typu tao-tao można kupić w Biedronce. My robimy je same, tutaj na rogu Hożej i Wojska Polskiego. Tak samo sałatka orientalna, której składnikiem jest zwykły ogórek, my same robimy do niego marynatę. Goście często dziwią się, że sprzedajemy tyle porcji, na ile starczy nam składników w danym dniu. Ale na tym to polega. Nie produkujemy niczego na zapas. Nie mamy gotowych elementów dań, tylko to wszystko gotujemy, obsmażamy i wstępnie przygotowujemy do obróbki same.

Przepis na karczek szarpany wyszedł nam przypadkowo. Karczek jest wymagającym mięsem, trzeba go długo gotować, żeby był miękki, ale nie za długo. Myśmy ten etap przedłużyły i wyszła z tego naprawdę smaczna szarpana karkóweczka. Bardzo dobrze się przyjęła i teraz jest naszym bestsellerem. Sprzedaje się jako wypełnienie bułeczek „bao” lepiej niż krewetki, a myślałyśmy, że krewetki będą miały większe wzięcie. Jednak złotoryjanom bardziej przypadł do gustu smak tradycyjny, jednak mamy nadzieję, że się jeszcze otworzą na nowe.

Współpracujemy z dostawcami, którzy mają oryginalne przyprawy japońskie czy koreańskie i specjalizują się w jednej konkretnej kuchni. Używamy wyjątkowego pieprzu syczańskiego, który bardzo trudny jest do kupienia w Polsce. Jeżeli chodzi o krewetki, to zdecydowałyśmy się na większe i bardziej mięsiste, ich nie dostaniemy w znanych supermarketach. Mamy swojego dostawcę. Kwestia oleju jest dla nas bardzo waż-

na. Nie używamy produktów, które posiadają olej palmowy, bo jest on niezdrowy, powoduje różne schorzenia, np. chorobę wieńcową. Nasza frytura „gold” nie ma zapachu ani szkodliwych składników. Codziennie poddawana jest filtracji, żeby nie zawierała zanieczyszczeń odkładających się po smażeniu. Współpracujemy z producentem oleju z Kruszwicy, który na rynku polskim działa od 50 lat, a skupuje tylko najlepszy rzepak, między innymi z Opolszczyzny. Fryturę często wymieniamy i nie oszczędzamy na niej. Frytur mamy dwie. W jednej smażymy mięso i owoce morza a w drugiej wyłącznie produkty wegetariańskie, takie jak boczniaki, frytki czy tofu. Mamy podpisany kontrakt z osobą, która odbiera od nas zużyty olej.

Jesteśmy zwolenniczkami niemarnowania jedzenia. Wszystkie produkty, których już nie da rady przerobić, oddajemy dla zwierząt naszym sąsiadom. Mamy w założeniu naszej działalności zasadę „zero waste”. Ponadto staramy się, aby jak najmniej używać plastiku. Napoje są u nas w szklanych butelkach, mamy papierowe opakowania do dań, a sztućce są z pestek awokado.

Nasze przedsięwzięcie wpisuje się w zrównoważony biznes. Skończyłam marketing i zarządzanie zasobami ludzkimi i rozumięłam sens w ograniczaniu używania plastiku. Nie tylko, zanieczyszczając oceany, tworzy szkodliwe środowisko dla zwierząt, ale plastikowe substancje chemiczne wchodzi w różne reakcje z żywnością i mogą być także szkodliwe dla ludzi. Z naturą powinniśmy żyć jak bracia, dlatego w naszym lokalu mamy dużo zieleni, której zadaniem jest pobudzić zmysły i przekazać dobrą energię. Oczywiście segregujemy też śmieci.

Zgodnie z rytmem natury zmieniamy się według pór roku. Obecna karta dań nie jest stała. Już myślimy o karcie majowej. Wiadomo, że krótka karta szybko się nudzi. Zmiana składników w tych samych daniach sprawia, że nie stoimy w miejscu i zaskoczmy czymś naszych gości. W planach mamy też nowe dania z kuchni japońskiej, np. sushi, które chcemy sporządzać „na żywo”, ale spokojnie, nie z żywych składników, tylko „na oczach klientów”.

Mamy też pomysły na podroby, szczególnie na jeden produkt, ale to jest na razie tajemnica. Włączymy go niedługo do naszego menu. Podroby nie cieszą się dużą popularnością, bo nie każdy je lubi, ale my chcemy pokazać, że można z nich wyczarować zupełnie inne da-

nia. Nie będą się kojarzyć z tym, z czego będą wykonane. Danie z tych składników może smakować naprawdę dobrze. Mamy nadzieję, że nasi goście nam zafają pod tym względem.

Nasza kuchnia nie jest dla wszystkich i zdajemy sobie z tego sprawę. Jesteśmy dla tych, którzy cenią orientalne smaki, rozumieją kuchnię „slow food” i którym nie przeszkadza czas oczekiwania na zamówienie, bo liczy się dla nich jakość potrawy.

Sercem każdej restauracji jest kuchnia. Wystrój sali może być nie wiadomo jak piękny, ale jeżeli w kuchni nie prze-

tariańskie mamy także osobną lodówkę. Włożyliśmy w to przedsięwzięcie nasze skromne oszczędności, z zamysłem, że od czegoś zawsze trzeba zacząć, a później się rozwijać. Na początek zaadaptowałyśmy małe miejsce i raczej sprzedajemy na wynos. **Dzielimy się szczęściem z tego, że gotujemy.** Mimo że to jest nasz biznes i zarabiamy tu pieniądze mniejsze czy większe, to robimy to dlatego, że kochamy gotować i to jest naszą pasją oraz sposobem na życie.”

Dziewczyny są pełne energii i zapału, a Angelika rzeczywiście dużo mówi. Skosztowaliśmy z mężem prawie wszystkich

potraw, jakie oferuje „Kono-ha Bar”. Jesteśmy nimi zachwyceni. Zupy mają wyjątkowo zbalansowany smak i idealne proporcje składników, zwłaszcza mleczka kokosowego. Obie zupy (Tom Ka i Pho) różnią się od siebie składnikami, co jest wyczuwalne, i dają inne doznania. Zaskoczeniem była dla nas konsystencja bułeczek „bao” gotowanych na parze. Są miękkie i lekkie. W porcji znajdują się 2 sztuki i byłam pewna, że to dla mnie za dużo. Tymczasem zjadłam całą swoją porcję i jeszcze jedną „bao” od męża, który tylko na chwilę odwrócił głowę, by spojrzeć na uwijające się dziewczyny. W „bao” rewelacyjne są krewetki w chrupiącej panierce, rzeczywiście są mięsiste i idealnie zrobione. Warto wspomnieć także o mięciutkim doprawionym mięsie, skąpanym w świetnym so-

strzeżeniu ustalonych zasad, to jedzenie nie może być dobre, a gość drugi raz nie przyjdzie. My mamy otwartą kuchnię, żeby było widać, co i jak przyrządzamy, na przykład to, że używamy rękawiczek i dbamy o czystość otoczenia. Ponieważ przygotowujemy dwa warianty dań, mamy dwie osobne deski przeznaczone do krojenia. Mięso kroimy na deskach czerwonych a warzywa na zielonych. Robimy to dlatego, żeby produkty przeznaczone dla wegan czy wegetarian nie miały styczności z mięsem, a poza tym, żeby bakterie się ze sobą nie łączyły. Na produkty wegańskie i wege-

nie oraz marynowanej marchewce na wierzchu, zmieniającej nieco teksturę dania. Mąż wolałby dania bardziej pikantne, ale jak dla mnie ostrość jest wystarczająca, zwłaszcza gdy skosztowałam Curry z bocznikami. Niebo w gębie!

Atmosfera panująca w lokalu zachęca do jedzenia. Nie tylko zapachy unoszą się w powietrzu, ale także mnóstwo mikroskopijnych serduszek, takich jakie rozchodziły się od zachwyconej Czarodziejki z Księżycą.

Rozmawiała Beata Jańta



Z Brzozdowiec do Sędzimirowa

Po publikacji artykułu o panu Andrzeju Kaweckim z Sędzimirowa odezwała się do mnie rodzina, która zamieszkiwała jego dom bezpośrednio po wojnie. Oto ich opowieść, zamykająca jednocześnie historię domu, w którym do 1945 roku była piekarnia i sklep. Potem zamieszkali tam państwo Wiewiórscy, a kolejny właściciel założył w budynku kawiarnię.

- Nazywam się **Zofia Piekut, z domu Wiewiórska**, w maju skończę 86 lat. Moi rodzice to Stanisława, z domu Jaworska i Stanisław. Tato był na wojnie, został ranny i 3 miesiące spędził w szpitalu Wrócił do domu początkiem października 1945 r. Mieszkaliśmy we wsi Brzozdowce, województwo stanisławowskie* na trasie Przemysłu - Lwów. Mieszkaliśmy w samym centrum, na ul. Kościelnej, blisko kościoła. Nasza miejscowość była polsko-ukraińska. Obchodziliśmy wspólnie święta. Tam zaczęłam szkołę. Nauka było po polsku i rosyjsku. Miałam sześcioro rodzeństwa, dwoje urodziło się już w Sędzimirowie. Mama zajmowała się domem i dziećmi. Tato był murarzem i zdunem. Gdy Tatę zabrali do wojska, Mama zajęła się handlem. Jej siostra mieszkała we Lwowie i sprzedawała żywność na tzw. placu. W tym czasie Tato przebył szlak bojowy do Berlina. Pamiętam, jak zmieniali się u nas

na plebanii żołnierze: raz Rosjanie, raz Niemcy. Jedni dawali dzieciom ołówki, drudzy cukierki. Tam był też szpital. Nikt z mojej rodziny nie zginął z rąk banderowców, bo zawsze ostrzegła nas sąsiadka Ukrainka i zabierała na noc do siebie. Wychodziliśmy tak, jak staliśmy - często, mimo mrozu, boso i w koszuli. W kościele chowali się przed nimi mieszkańcy innych wsi, bo był tam Cudowny Obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Teraz jest on w katedrze w Kamieniu Pomorskim. Kościół był ogrodzony murem i pilnowała go warta złożona z mieszkańców. Po wojnie byłam dwa razy w Lwowie i w Brzozdowcach.

Kazali nam wyjeżdżać z Brzozdowiec, więc Tato załatwił dokumenty w PUR-ze (ówczesny Urząd Repatriacyjny) na wyjazd na odległą o 20 km stację w Chodorowie. Podstawili odkryte wagony, deszcz nam się lał na głowy. Tato nie chciał jechać odkrytym wagonem, więc poszedł do PUR-u Musieliśmy czekać dwa tygodnie na namiocie ze słomy. Potem podjechał załadowany pociąg i zapakowaliśmy się do niego, aby jechać w

nieznane. Zabraliśmy ze sobą krowę, z którą Tato jechał potem w innym wagonie. My dzieci - z mamą i babcią jechaliśmy sześć tygodni, po 5 rodzin w każdym wagonie. Tato, ze względu na swoje doświadczenie wojskowe, miał rozeznanie w terenie i w czasie postoju pytał maszynistę, ile pociąg będzie stał. Jeśli postój (zwykle w szczerym polu) był dłuższy, można było wyjść na dwór po coś do jedzenia i ugotować. Tato musiał też zdobyć jedzenie dla krowy, aby dała mleko dla nas. W Krakowie czekaliśmy 5 dni, bo zmieniano wagony ze względu na inny rozstaw kół i musieliśmy się przesiąść. Dalej jechaliśmy tylko z jedną rodziną w wagonie. Tutaj przyjechaliśmy 8 grudnia 1945 roku - najpierw na stację w Nowej Wsi Grodzkiej, a stamtąd wozem drabiniastym sołtysa do Sędzimirowa. Przyjechała

z nami babcia ze strony Mamy - Anieła Lawroszenko (po drugim mężu). Rodziców Taty nie pamiętam.

Domy w Sędzimirowie były opuszczone przez Niemców, część z nich była już zajęta przez innych repatriantów. Ten dom był pusty, tylko na dole stał duży piec kafłowy i kotły. Jak zajęto się dany dom, trzeba było wywieźć

białą flagę, oznaczającą, że tu już ktoś mieszka. W przybudówce domu, który wybrał Tato, mieszkali jeszcze Rosjanie (rosyjskie wojsko) i pędzili bimber. Mama sprzedawała go we Lwówku. Kiedyś, idąc do Lwówka z kanką bimbrowa, spotkała po drodze Franciszka Wiewiórskiego - bratanka Taty. Szedł mostem w mundurze wojskowym, wracał z wojny i szukał swoich rodziców. Wiedział, że zostali przesiedleni, ale nie wiedział, gdzie. Mama zaprowadziła go do rodziny. W domu stał duży piec piekarski, cała wieś w nim piekła. Kawiarnia w naszym domu powstała, gdy siostra sprzedała dom po rodzicach w latach 90. Przedtem wykorzystywaliśmy wszystkie pomieszczenia dla siebie.

Do pierwszej i siódmej klasy chodzi-

łam pieszo do szkoły sześć km do Raciborowic, najgorzej było zimą. Resztę klas zrobiłam w Sędzimirowie. 1 listopada 1946 roku poszłam tu do I Komunii. Nie było wtedy z tej okazji prezentów. Zaczęłam szkołę w Legnicy, ale Mama urodziła najmłodsze dziecko i trzeba było jej pomóc. Gdy miałam 20 lat, a najmłodsza siostra tylko 4 latka, nagle Mama zmarła, więc jako najstarsza, mieszkająca z Tatą, musiałam się wszystkim zająć. Było przecież młodsze rodzeństwo. Dwie siostry były już zamężne. Tato pracował w cementowni w Raciborowicach. Trzeba było ugotować, oporządzić zwierzęta i pójść w pole. Do tego był przymus zdawania żywności na plan - na dostawy obowiązkowe: ziemniaki, buraki, zboże, mięso. Ciężkie życie było... Tylko Tato zarabiał, a trzeba było wszystko opłacić: podatki, buty, ubrania. Nie było chleba z masłem, tylko z mlekiem. Jedyną atrakcją były zabawy w Raciborowicach i Nowej Wsi. Po zabawie nie było odpoczynku.



Zofia i Wincenty Wiewiórscy z dziećmi

Mojego męża Wincentego poznałam na zabawie. Przyjechał do pracy do Ławszowej spod Warszawy, z Rawy Mazowieckiej. Był z zawodu technikiem konstruktorem maszyn. Pracował później w cementowni, tak jak mój ojciec. Gdy się przeprowadziliśmy w 1968 r. do Bolesławca, to - jak odchowałam dzieci - podjęłam pracę w kuchni w szkole górniczej, potem w liceum jako szefowa kuchni. Przeżyliśmy z mężem razem prawie 50 lat. Mamy córkę i syna oraz trzech wnuków.

*do 1939 r. Brzozdowce znajdowały się w woj. stanisławowskim, powiecie bóbreckim i były gminą. Obecnie to woj. łwowski, powiat Mikołajów.

Wioleta Michalczyk



Pani Zofia z córką



Pałac w Pielgrzymce

Ilekcroć przejeżdżałam przez Pielgrzymkę, zanim się do niej przeprowadziłam, zastanawiałam się nad historią parku znajdującego się na wjeździe do wsi od strony Złotoryi. W opowieściach mieszkańców przewijało się wspomnienie pałacu, do którego przynależał park. Z ciekawości zaczęłam szukać informacji na ten temat. Okazało się, że na miejscu pałacu wybudowano budynek banku, a pobliski sklep też stoi na dawnym terenie pałacowym. W miejscu, gdzie stał dom zarządcy majątku, został niedawno wybudowany Wiejski Dom Kultury. Pozostałością dawnego majątku są zabudowania gospodarcze otoczone murem, fragmenty muru – pierwotnie 2,5-3 m wysokości, otaczającego dawny ogród i park. Można sobie wyobrazić jedynie - oglądając zdjęcia i widokówki, jak wyglądał pałac i park w czasach swojej świetności. Szereg informacji na ten temat zawarto w albumie „Pielgrzymka dawniej i dziś na pocztówce i fotografii”, autorstwa Marcina Makucha i Wiolety Michalczyk, ilustrowanym widokówkami i zdjęciami ze zbiorów Urszuli Makuch i mieszkańców Pielgrzymki.

Pielgrzymka od momentu lokacji stanowiła własność rycerską. Prawdopodobnie w 2. poł. XIV w. istniały tutaj dwie posiadłości. Dwór górny do XVI w. był własnością rodziny von Kopisch. Następnie zakupił go

Hans von Zedlitz. Drugi majątek przed 1589 r. został sprzedany przez księcia legnickiego Joachima Fryderyka Siegmundowi von Bock, ówczesnemu właścicielowi Jerzmanic Zdrój i dworu górnego. Od 1593 r. całe dobra były w ręku Friedricha von Knobelsdorfa. W 1604 r. spłonął dach pałacu znajdującego się w sąsiedztwie kościoła. Kolejny pożar był następstwem działań w czasie wojny trzydziestoletniej. Tym razem ogień strawił zabudowania gospodarcze dworu. Prawdopodobnie tuż po nastaniu pokoju dobra znalazły się we władaniu rodziny von Wiese, która zmuszona była do podjęcia kolejnych prac remontowych, po tym jak ogień strawił dach pałacu w 1721 r. W 2. poł. XVIII w. stanowił on najbogatszą posiadłość na Pogórzu Kaczawskim. Kolejny jego gospodarz Wilhelm von Leckow, podobnie jak poprzednicy odbudowywał swoją rezydencję po pożarze z 1778 r. W następnych dziesięcioleciach wieś jeszcze kilkakrotnie zmieniała właścicieli. Od 1825 r., aż przez następne 120 lat dwór i jego zabudowania znajdował stanowić majątek rodziny von Elsner. Na terenie majątku górno-godny budynek pałacowy wielokrotnie w swoich dziejach był świadkiem znaczących wydarzeń w dziejach nie tylko Śląska. W czasie wojny trzydziestoletniej służył on jako kwatera dowódców walczących stron. W 1626 r. stacjonował tutaj Albrecht von Wallenste-

in, głównodowodzący wojsk cesarskich. W 1639 r. zajęli go Szwedzi. Natomiast w czasie wojny siedmioletniej w pałacu kwaterował król Prus Fryderyk II Wielki oraz generał Hans Joachim von Ziethen. Gdy w 1757 r. w Pielgrzymce obozowała armia cesarska, w rezydencji jej właściciela zamieszkał książę Karol Lotaryński. W czasie kampanii napoleońskiej w maju 1813 r. przebywał tutaj król Prus Fryderyk Wilhelm III oraz car Aleksander I. Natomiast 21 sierpnia tego samego roku pałac był siedzibą naczelnego wodza feldmarszałka Gebharda Leberechta von Blüchera oraz towarzyszących mu dowódców: Macdonalda, von Gneisenau, von Steina i von Hardenberga.

Na terenie zabudowań dworskich podczas II wojny światowej znajdował się mały obóz pracy. Pracowało w nim na terenie gospodarstwa rolnego i dworu 18 Polaków, 5 Rosjan i 1 Francuz. Niektórzy z nich zostali po zakończeniu wojny we wsi. Po zdobyciu wsi przez Rosjan majątek stanowił przez kilka dni schronienie dla 50 uciekinierów - obcokrajowców. Wszyscy oni ukrywali się w piwnicach majątku. 12 lutego 1945 r. pałac został podpalony przez Rosjan. Jego ruiny ostatecznie roze-

brano w latach 70. XX w.

W 2. poł. XVII w. pałac należący do Maximiliana von Knobelsdorfa przebudowano nadając mu cechy barokowej rezydencji. Możliwe, że to wówczas po wschodniej stronie pałacu został założony rozległy ogród. Urządzono go na planie wydłużonego prostokąta. Pierwotnie w całości zamknięty był kamiennym murem. Obecnie jego pozostałości zachowały się wzdłuż północnej granicy. W 2. poł. XIX w. we wschodniej części założenia utworzono park naturalistyczny zasadzając tam drzewa rodzimych gatunków (lipy, buki, klony). Oprócz nich w drzewostanie dominują dziś jesiony oraz dęby. Najstarszym drzewem na terenie parku jest lipa drobnolistna „Mniszka”, licząca sobie blisko 400 lat. Jej obwód to 595 cm. Kolejnym pomnikiem przyrody ożywionej jest dąb szypułkowy „Bartuś” o obwodzie 505 cm i wysokości 20 m. Jest on tylko nieznacznie młodszy od „Mniszki”. Liczy sobie około 350 lat. Taki sam status ma sosna wejmutka o obwodzie 320 cm.

Pałac w Pielgrzymce był miejscem, gdzie chętnie gościli właściciele pobliskich majątków. Jeden z nich – ostatni właściciel Dolnego Pałacu w Sokołowcu – **Gustav Reichardt** pisze w swoich wspomnieniach: „Muszę wspomnieć o jednym domu, do którego zajeżdżali chętnie moi rodzice wracając z Legnicy i w którym często gościliśmy, aż do śmierci barona i baronowej Forstner. To Pielgrzymka - stary pałac, pierwotnie zamek wodny, położony na starym trakcie wojskowym Lwówek – Złotoryja. Temu położeniu zawdzięcza on swoje znaczenie militarne. W hallu była płyta z piaskowca, na której jak pamiętam, było napisane: W tym starym, zbudowanym przez templariuszy domu mieli swoją kwaterę Wallenstein – książę Brandenburgii, graf von Til-



ly, feldmarszałek Daun, Fryderyk d.G. Macdonald – książę Tarentu, książę Blücher von Wahlstatt (Legnickie Pole), graf Neidhardt von Gneisenau. Możliwe, że było tam więcej nazwisk, ale już ta lista pokazuje historyczne znaczenie całej okolicy. W naszych czasach dużą rolę odgrywały przede wszystkim aukcje baranów i w związku z tym niejeden raz tam świętowaliśmy. To wszystko już było i nie wróci - harmonijne, przyjazne i niezapomniane spotkania towarzyskie śląskich właścicieli majątków”.

Obecni mieszkańcy Pielgrzymki wspominają pałac i park jako miejsce ich zabaw w dzieciństwie i spotkań w młodości. W ich ocenie pałac nadawał się jeszcze do remontu z przeznaczeniem na szkołę lub dom kultury. Wystarczyłoby tylko naprawić dach i wyremontować pomieszczenia na drugim piętrze. **Pan Zbigniew** opowiada o dwupiętrowym budynku, otoczonego fosą (obniżenie terenu) z wejściem głównym od strony lipy „Mniszki” po kamiennym, ok. 4 m szerokim moście z barierkami. W hallu pałacu były szerokie, kamienne schody. Przy murze od strony pałacu był taras z widokiem na ulicę. W budynku były dwupoziomowe piwnice. W parku było wiele ciekawych, rzadko spotykanych drzew i krzewów oraz trzy mostki kamienne. W rogu parku - na wzniesieniu między kasztanowcami były pozostałości altany. **Pani Henryka** pamięta jeszcze białe, metalowe łóżka w pałacu (prawdopodobnie wojskowe) i tunel pod pałacem, którym przechodzili na drugą stronę drogi. Wspomina dzień, gdy rujnowano pałac, ściągając go za pomocą lin.

Od 2015 r. porządkowaniem parku zajęło się Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Wsi Pielgrzymka. W 2018 r. pozyskano środki finansowe na zagospodarowanie części par-

ku i wykonanie ścieżki edukacyjnej „Drzewa w zabytkowym parku w Pielgrzymce”. Kolejne fundusze pozwoliły w 2022 roku na dalsze prace zagospodarowujące park. Jest on obecnie wspaniałym miejscem rekreacji i spotkań dla mieszkańców. Nie możemy wprawdzie zaprosić naszych czyteln-



ków do pałacu, ale zapraszamy do spaceru urokliwymi ścieżkami parkowymi, Zabytkową Aleją Kasztanową, do podziwiania tysięcy zawiłców kwitnących wiosną, odpoczynku w cieniu starych drzew z towarzyszącym mu śpiewem ptaków. Wystarczy do tego jeszcze uruchomić wyobraźnię...

 **Wioleta Michalczyk**



Mateusz Jurczyk jest uczniem ostatniej klasy szkoły branżowej w ZSZ w Złotorzy, kształci się w zawodzie operatora maszyn skrawających numerycznie. Kiedy się nie uczy – strzela.

Tak opowiada o swojej pasji:

„Przygodę ze strzelectwem sportowym rozpocząłem w 2019 roku, mając 14 lat. Pierwsze moje zawody, w jakich uczestniczyłem, odbyły się w Złotorzy i były to zawody międzynarodowe pod patronatem Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego (PZSS). W swojej kategorii wiekowej zająłem III miejsce w konkurencji pistolet pneumatyczny 40 strzałów. Strzelectwo sportowe, jak każdy sport, oprócz talentu wymaga wytrwałości i treningów. Dzięki temu w kolejnych latach osiągałem coraz lepsze rezultaty, aż w tym roku zająłem I miejsce w XIX Międzynarodowych Zawodach Klasyfikacyjnych PZSS „Wielki Puchar Kaczawy”. Oczywiście w swojej kategorii wiekowej. W tym roku w zawodach brało udział 200 zawodników, między innymi z Niemiec, Czech oraz Polski. W mojej kategorii strzelało 25 osób.

Za swoje największe osiągnięcia uważam: 4 miejsce w Mistrzostwach Polski Młodzików w konkurencji PSZ 2x30 w roku 2019, 3 miejsce w Mistrzostwach Województwa Dolnośląskiego w roku

2020, 2 miejsce w Mistrzostwach Województwa Dolnośląskiego w roku 2021, 1 miejsce w Mistrzostwach Województwa Dolnośląskiego w roku 2022. W uznaniu za moje osiągnięcia zostałem powołany do kadry Dolnego Śląska, a więc obecnie reprezentuję nasze województwo.

Na mistrzostwach Polski reprezentuję już nie tylko klub, lecz cały Dolny Śląsk. Taka funkcja nie ma ograniczeń czasowych, z czasem zmienia się tylko grupy wiekowe. Jako młodzik zdobywa się licencję, która obowiązuje do 18. roku życia, aby móc brać udział w zawodach w kategoriach junior i senior. Po 21. roku życia można się ubiegać o pozwolenie na broń, jeżeli przejdzie się przez różne testy psychologiczne. Ale trzeba być dobrym i ciągle osiągać dobre wyniki. Cały czas biorę udział w zawodach międzynarodowych organizowanych w Czechach i Niemczech. W roku 2020 w Czechach zająłem trzecie miejsce, a w roku 2022 drugie. Zawody odbywają się raz, dwa razy w miesiącu.

Na czym polegają zawody strzeleckie? To różne konkurencje. Pistolet pneumatyczny, gdzie czas na strzały próbne dla wszystkich kategorii wiekowych wynosi 15 minut, a czas na strzały oceniane różni się dla każdej kategorii wiekowej. Na przykład: młodzik ma 40 strzałów w cza-

sie 50 minut, junior młodszy 50 strzałów w czasie 60 minut, a senior i junior to 60 strzałów w czasie 75 minut. Tak samo w kategorii karabin pneumatyczny. Inne kategorie to pneumatyczna broń na 10 metrów, pistolet kulowy na 25 metrów, karabin kulowy na 50 metrów. Jest też konkurencja MIX, czyli chłopak i dziewczyna, którzy strzelają na wspólny wynik. Pistolet kulowy dzieli się na sportowy i szybkostrzelny. Sportowy ma konkurencję precyzyjną i szybkostrzelną. Precyzyjna to oddanie 30 strzałów do tarczy, szybkostrzelna to oddanie 30 strzałów do obracających się 5 tarcz w ciągu 8, 6 i 4 sekund. Po pięciu strzałach tarcza się zamyka i tylko te oddane są liczone. Wszystko zapisane jest na dysku komputera, a sędziowie sumują strzały. Wszystkich konkurencji nie opisuję, ponieważ byłoby to zbyt długie.

Początki:

„Któregoś razu w 2018 roku tato chciał, żebym mu pomógł na strzelnicy coś zrobić i przy okazji trochę „sobie postrzelał”. Trener zaproponował mi na początek strzał z karabinu, żeby zobaczyć, jak mi pójdzie. Najlepiej nie było. Ale gdy doszło do strzelania z pistoletu, uznał, że mam potencjał. Do tej pory go rozwijam.

Żeby osiągać sukcesy, zawodnik musi być wytrwały i nie poddawać się, kiedy przychodzą słabsze dni. Trzeba być silnym fizycznie i mentalnie. Raz, żeby utrzymać pistolet lub karabin i strzelić wielokrotnie, stojąc w tej samej pozycji, dwa, żeby kiedy zdarzy się jakiś słabszy strzał, nie załamywać się, lecz starać się podnieść wynik.”

Trening:

„Trenuję około 3 razy w tygodniu, choć to też jest uzależnione od tego, kiedy mam czas. Moim trenerem jest Józef Zatwardnicki. Czasami trener chce, abyśmy brali udział w tzw. obozach. Wtedy przychodzimy rano, strzelamy, potem mamy przerwę i idziemy na obiad i po południu znowu strzelamy. Trwa to od godziny 8. do 16. Przeważnie takie obozy odbywają się na wakacjach. Pistoletem pneumatycznym trenujemy na małej hali, na ul. Lotników. Na strzelnicy pod Górką Mieszkańską (ul. Legnicka) strzelamy z kulowego. Na nowej strzelnicy „Złote Wzgórze” budowane jest stanowisko na karabin na 100 i 300 metrów, ale tam nie ma odpowiedniego sprzętu dla mojej konkurencji. Tuż przed zawodami trener zaleca odpocząnek, żeby mięśnie były zregenerowane i wypoczęte..

Rozgrzewka mięśni przed próbnymi strzałami polega na rozciąganiu mięśni ud i podudzi oraz obejmuje standardowe ćwiczenia mięśni barków, żeby nie bolały podczas strzelania. Także po to, żeby utrzymać stabilną pozycję i nie mieć zakwasów po treningu. Później strzelamy około 15 minut. Następnie, w zależności od kategorii, oddajemy 40 strzałów w ciągu 50 minut, 50 w godzinę, 60 w ciągu godziny i 15 minut. To pistolet. W karabinie jest podobnie, tylko że przed rozpoczęciem strzelania ubieramy się jeszcze w strój, potrzebny, żeby się nie kołysać. Buty z płaską podeszwą, spodnie sztywne, żeby nie zginać kolan i sztywna kurtka, żeby utrzymać dłużej rękę w jednej pozycji. Bez tej kurtki jest trudniej strzelać, ciało się kołysze i są trudno zachować precyzję. W strzelaniu dobrze mieć „sokole oko”, ale z wadą wzroku też jest to możliwe. W końcu od czego są okuliści i okulary?

Ja strzelam z pistoletu, który wymaga odpowiedniej pozycji. Przy oddawaniu strzału trzeba mieć wyciągniętą rękę i stać bokiem w rozkroku. Wyciągniętą rękę z bronią celuje się do tarczy pod czarnym polem i po prostu się oddaje strzał. Zaręczam, że na stojąco strzela się trudniej niż na leżąco. Znam swój poziom umiejętności, który jest mocno uzależniony od mojej systematyczności. Zauważyłem, że im więcej ćwiczę, tym ten poziom wzrasta albo przynajmniej utrzymuje się na tym samym poziomie. Mam dzięki temu większą odwagę, żeby startować w zawodach, przed ludźmi, przed widzami. Dzięki udziałowi w zawodach poznaję nowych ludzi, jestem przez to bardziej otwarty, nie mam problemów z nawiązywaniem kontaktów i utrzymywaniem dobrych relacji z innymi. Systematyczność w strzelaniu prze-

kłada się u mnie na systematyczność w nauce. Mam świadomość, że krok po kroku, stopniowo, można wszystkiego się nauczyć. Poza tym można wziąć udział w kursach strzelania organizowanych na strzelnicy. To polecam każdemu. Tam można obyć się z bronią i sprawdzić swój potencjał. Jako strzelec lubię filmy z akcją, utożsamiam się z bohaterami i analizuję ich zachowanie z technicznego punktu widzenia.”

Pistolet:

„Przyrządy celownicze to z przodu szczerbinka, a na końcu lufy muszka, czyli taki mały kwadracik. Szczerbinka to taki jakby prostokąt z wyciętą dziurką. Muszka musi się znaleźć w miejscu równo ze szczerbinką, na samym środku i równo z górą. Podczas oddawania strzału powinno się skupiać nie na samej tarczy, tylko na przyrządach. Milimetr różnicy na przyrządach powoduje strzał oddalony od środka tarczy. Milimetr na tarczy to może być między 9 a 8, więc dużej różnicy nie ma.

Strzelanie- przydatna umiejętność

„Kiedyś na strzelnicę chodziło około 6 osób, które systematycznie trenowały. Rok, dwa lata temu, zaczęło przychodzić dużo młodych i teraz jest ok. 13-14 osób, które systematycznie ćwiczą w klubie.

Warto jest uprawiać ten sport, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Po prostu można zdobyć dodatkowe umiejętności, które gdzieś tam w życiu się przydadzą. To także dodatkowa możliwość zarobku. Można zaliczyć kursy sędziowskie lub trenerskie i pracować na zawodach czy trenując młodych.

Strzelectwo to moje hobby, które będę uprawiał, dopóki będę miał formę i zdro-

wie. Strzelanie poprawia osobowość i uczy odpowiedzialności. Daje pewność, że jeżeli na świecie stanie się coś złego, to będę umiał posługiwać się bronią i obronię się przed ewentualnym napastnikiem. Chociaż na co dzień strzelam z pistoletu, uczę się też celować z karabinu. Mam nadzieję, że w czasie wojny, zamiast uciekać do schronu, jak trzeba będzie, będę walczył o Ojczyznę.”

Zapytałem Józefa Zatwardnickiego o Mateusza: „Mateusz jest zawodnikiem, który od kilku lat trenuje w klubie. Jest pistoleciarzem. Wyróżnia się w swojej grupie, jest jednym z silniejszych. Strzela wysoko i cieszymy się, że został zwycięzcą finału w pistolecie pneumatycznym juniorów. Pokazał klasę. Ale jak to w sporcie bywa, raz się jest na wozie, a raz pod wozem. Najważniejsze, żeby nie tracić ducha i trenować. W tym roku Mateusz miesiąc czasu nie trenował, bo był na praktyce. Jednak odrabia to. Owocuje też trening kilkuletni. Ma sukcesy. Jest w kadrze Dolnego Śląska. Nasz Klub ma tam 15 zawodników w różnych kategoriach. W ubiegłym roku na Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży, gdy był „młodzikiem” w pistolecie szybkostrzelnym, zajął wysoką pozycję. To jest trudna konkurencja, bo strzela się do 5 tarcz w ciągu 8, 6 i 4 sekund. Teraz przygotowujemy się do egzaminu na patent, żeby miał licencję osoby dorosłej. Sport ma to do siebie, że jedna chwila niedyspozycji i traci się cały dorobek eliminacji. Ale tutaj finał rozegrał bardzo dobrze. To jest dobry sygnał, bo czekają nas Mistrzostwa Polski Juniorów, podczas których będzie walczył o medal i nie tylko medal, ale także żeby zostać powołanym do kadry narodowej.”

Rozmawiała Beata Jańta



Wszystkiego co najlepsze
na Święta Wielkiejnocy,
wiosennych nastrojów,
cieplej, radosnej atmosfery,
miłych spotkań z Najbliższymi
oraz smacznego jajka
i mokrego Łanego Poniedziałku
życzy
Zarząd TMZZ





Książka czy streszczenie?

Muszę przeczytać na polski „Nie-Boską komedię”. Już na przyszyły tydzień. Nie przepadam za czytaniem lektur, ponieważ są nudne, nie zachwycają, a bardziej swoją archaiczną treścią zniechęcają. Kiedy już kierowana obowiązkiem wyciągnę rękę po książkę, to po zgłębieniu kilku pierwszych stron mam ochotę ją zamknąć z hukiem i więcej nie oglądać. Wtedy w mojej głowie pojawia się pokusa, by sięgnąć po streszczenie, które jest pisane prościej i krócej, przystępniej. Ale pomija niektóre szczegóły. A jak właśnie o nie zapyta polonistka? Nie mam pojęcia, co wybrać. Za każdym razem muszę się z tym zmierzyć. I stąd moje pytanie, co jest dla mnie lepsze? Nie tylko ja mam ten problem, ponieważ społeczeństwo dzieli się na tych, którzy czerpią radość z czytania i tych, którzy nie potrafią jej odnaleźć. Najczęściej należą do nich uczniowie szkół średnich, zmuszeni do przyswojenia dziesiątek tekstów, z którymi nie mają najmniejszej ochoty obcować. Przyczyny tego stanu rzeczy są bardzo złożone, ale główną jest zły dobór lektur szkolnych.

Często treść lektur jest niedostosowana do wieku emocjonalnego, zbyt nudna i nieatrakcyjna dla czytelnika. Skutkiem tego jest utwierdzenie w przekonaniu młodego czytelnika, że każda inna książka będzie podobna do tej poprzedniej i nas nie zainteresuje.

Gdyby te wielkie dzieła zostały zastąpione współczesnymi powieściami, które charakteryzują się ciekawą fabułą, zazwyczaj prostym językiem, dostosowanym do wieku czytelników, zainteresowanie książkami by znacznie wzrosło. Wtedy czytanie nie byłoby przymusem, tylko czystą przyjemnością. To, że książki są nowoczesne, nie umniejsza ich wartości i zawartych tam wątków, które warto poruszyć.

Trzeba tu również pomyśleć o nauczycielach, którzy na co dzień zmagają się z tym, by zachęcić uczniów do czytania, potem wyjaśnić lekturę, przełożyć ją z jednego języka (autora) na drugi, bardziej przystępny (czytelnika). Zapewne sami też czytają najnowsze książki i dostrzegają różnice pomiędzy omawianymi tomami w szkole, a czytany z własnej chęci. Wydaje się, że nauczyciele sami byliby skłonni do zmiany kanonu lektur.

Poruszony przeze mnie problem skłania do refleksji, że ciągle jest duża niechęć ludzi odpowiedzialnych za kanon lektur do wprowadzenia rewolucyjnych zmian. Może dlatego, że jeszcze nikt na większą skalę nie wygłosił negatywnej opinii na ten temat. To może my, uczniowie zaochcimy głośniej o tym mówić, zamiast sięgać po streszczenia? A Wy co o tym sądzicie?

 **Konstancja Kupiec LO Złotoryja**



Jak człowiek z AI

Pod koniec zeszłego roku został uruchomiony ChatGPT – program komputerowy przeznaczony do prowadzenia konwersacji w oparciu o technologię sztucznej inteligencji. Jak każda nowinka technologiczna rozwiązanie to budzi ciekawość, a ponieważ jest na wyciągnięcie ręki, a właściwie w zasięgu palców, to dlaczego nie przetestować i nie zadać kilku pytań odnośnie naszego miasta?

Czy wiesz coś o Złotoryi?

ChatGPT: Tak, Złotoryja to miasto położone w południowo-zachodniej części Polski, w województwie dolnośląskim. Słynie z zabytkowej Starówki, której początki sięgają XIII wieku i jest uważana za jedną z najstarszych i najpiękniejszych na Dolnym Śląsku.

Złotoryja słynie również z historii wydobycia złota, która sięga średniowiecza. W rzeczywistości nazwa miasta pochodzi od polskich słów „złoto” oznaczających „złoto” i „ryja” oznaczające „moje”. Dziś zwiedzający Złotoryję mogą odwiedzić Muzeum Kopalni Złota, które prezentuje historię wydobycia złota na tym terenie.

Jak sądzisz, dlaczego książkę Henryk Brodaty nadał Złotoryi prawa miejskiego?

Książkę Henryk Brodaty nadał Złotoryi prawa miejskiego prawdopodobnie ze względu na jej położenie strategiczne. Złotoryja leżała na szlaku handlowym łączącym Wrocław z Pragą i była podstawowym punktem na drodze do Czech i Niemiec. W 1252 roku książkę Henryk Brodaty sporządził dokument, w którym nadano miastu Złotoryi prawa miejskie, co miało wpływ na rozwój i rozbudowę miasta oraz na handel i rzemiosło. Uznanie praw miejskich Złotoryi było również korzystne dla księcia, który miał większą kontrolę nad miastem i jego zasobami.

skich Złotoryi było również korzystne dla księcia, który miał większą kontrolę nad miastem i jego zasobami.

Jesteś pewien, że książkę Henryk Brodaty nadał prawa miejskie Złotoryi w 1252 roku?

Przepraszam za pomyłkę w mojej własnej odpowiedzi. Złotoryja otrzymała prawa miejskie od księcia Henryka Brodatego w 1211 roku, a nie w 1252 roku, jak wcześniej podałem. Decyzja ta była ważna dla rozwoju miasta jako silnika jego rozwoju. Dzięki przyznanemu prawu miejskiemu, miasto zyskało większą autonomię i możliwość rozwoju.

Jak zapobiec depopulacji Złotoryi?

Depopulacja, czyli spadek liczby ludności w miastach, to problem, z którym zmagają się wiele miast na całym świecie. W przypadku Złotoryi istnieje kilka sposobów, które mogą pomóc w zapobieganiu spadkowi liczby mieszkańców:

Tworzenie dobrych warunków do życia - rozwój budownictwa, rozwój infrastruktury i inwestycje w kulturę i sport mogą przyciągać nowych mieszkańców do miasta. Wspieranie przedsiębiorczości i inwestycji - pomaganie w dokonywaniu inwestycji w Złotoryi poprzez preferencyjne warunki podatkowe i finansowe, tworzenie strefy inwestycyjnej i promocji miasta jako atrakcyjnego miejsca do prowadzenia biznesu.

Promocja turystyki - Złotoryja ma wiele zabytków i atrakcji turystycznych, a także znajduje się w urokliwej okolicy. Promowanie miasta jako atrakcyjnego celu turystycznego może przyciągać nowych użytkowników.


Wspieranie edukacji i nauki - rozwijanie szkolnictwa wyższego i wspieranie badań naukowych może przyciągać studentów i zachęcić do miasta.

Współpraca z innymi miastami i regionami - Złotoryja może działać na rzecz promocji regionu i współpracować z innymi miastami i regionami w celu przyciągania nowych mieszkańców oraz rozwijania gospodarki.

Wszystkie te działania mogą pomóc w przeciwdziałaniu depopulacji miasta Złotoryja. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że każde miasto ma swoje specyficzne potrzeby i wyzwania, dlatego ważne jest wdrożenie strategii dopasowanej do indywidualnych potrzeb i warunków miasta.

To tylko mały wyimek z bardzo rozbudowanej dyskusji z ChatGPT. Bardzo ważne jest precyzyjne zadawanie pytań, najlepiej po angielsku, wtedy unikniemy podwójnej translacji. ChatGPT odpowiada często trochę jak grecka Pytla – wieloznacznie, czasem w sposób niejasny, ale zawsze dyplomatycznie nie zajmuje zdecydowanego stanowiska w sprawach kontrowersyjnych. Również zasób informacji na tematy polskie ma ograniczony. Dlatego do odpowiedzi należy podchodzić z pewną rezerwą.

Niemniej to znakomita zabawa, ale również i pomoc. Można np. zlecić ChatGPT wykonanie skryptu na stronę internetową, który po zaimplementowaniu będzie działał. Sztuczna inteligencja to niestety przyszłość. W innym programie AI, dedykowanemu grafice, zleciłem narysowanie obrazka z dziewczyną siedzącą w otoczeniu książek, piszącą przy stole w otoczeniu motyli. Aplikacja Discord opis słowny przekształciła w obrazek widoczny przy artykule po lewej stronie. Kolejnej aplikacji poleciłem przekształcenie powyżej umieszczonego zdjęcia z krokusami – efekt można obejrzeć w pełnej krasie na okładce.

 **Robert Pawłowski**

Kronika

13 – 17.02 w ramach projektu Erasmus+ „Płonąć ale się nie wypalić – przeciwdziałanie wypaleniu zawodowemu nauczycieli SOSzW w Złotoryi” 6 nauczycieli Ośrodka uczestniczyło w szkoleniu „Handling Stress and Avoiding Burnout”, które odbyło się w Palermo na Sycylii.

22.02 grupa dzieci z Przedszkola Językowego „Michałek” w Złotoryi odwiedziła teren oczyszczalni ścieków w Złotoryi.

22.02 odbyło się spotkanie urzędników miejskich z uchodźcami z Ukrainy będącymi pod opieką UM Złotoryja.

27.02 premier Mateusz Morawiecki spotkał się w Złotoryi z samorządowcami z powiatów lubańskiego, lwóweckiego i złotoryjskiego.

1.03 pod pomnikiem Niepodległości odbyła się uroczystość z okazji powiatowych obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

1.03 w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się „Poranek z poezją” Wisławy Szymborskiej.

3 – 5.03 Złotoryja promowała się na Międzynarodowych Targach Turystyki i Czasu Wolnego we Wrocławiu.

3 – 13.03 zbierano zgłoszenia w kolejnej edycji złotoryjskiego budżetu obywatelskiego.

6.03 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury zorganizowano spotkanie Złotoryjskiego Festiwalowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego, podczas którego zaprezentowano film pt. „Plan na miłość”.

8.03 w restauracji „Przy Miłej” złotoryjski oddział Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów zorganizował uroczystość z okazji Dnia Kobiet połączone z obchodami Dnia Mężczyzn.

9.03 w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Złotoryi zakończono zadanie pn. „Termomodernizacja i poprawa efektywności energetycznej budynku Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Złotoryi”.

9.03 w Zamku Grodziec odbyło się pierwsze spotkanie przedsiębiorców z regionu, w ramach organizowanego przez Legnicką Specjalną Strefę Ekonomiczną we współpracy z Gminą Zagrodno projektu „Strefa dla biznesu”.

10.03 w Sali Książęcej Zamku Grodziec otwarto wystawę prac Patryka Nieczarowskiego „Miedź jest kobietą”.

14.03 uczniowie ze Szkoły Podstawowej im. Janusza Korczaka w Świerzawie wzięli udział w Regionalnych Zawodach Robotycznych LEGO FLL: Lego First League, które odbyły się w Żarach zajmując pierwsze i dwa trzecie miejsca w różnych kategoriach.

16.03 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się gala wyboru „Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2022”, którym został Wielki Mistrz Polskiego Bractwa Kopaczy Złota Zbigniew Soja.

20 – 25.03 społeczność Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi gościła delegację młodzieży z 5 krajów, w ramach programu Erasmus+.

21.03 Centrum Informacji Turystycznej w Złotoryi zorganizowało 20. edycję Złotoryjskiego Rajdu Turystycznego na Powitanie Wiosny „Marzanna”.

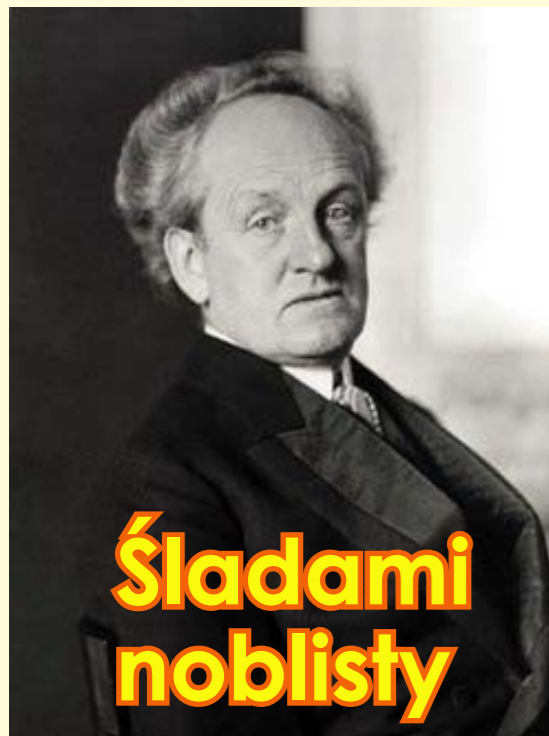
22.03 w Gold Hotelu w Złotoryi odbyło się drugie „Dolnośląskie Śniadanie Biznesowe” dla wszystkich przedsiębiorców i samorządowców z powiatu złotoryjskiego zorganizowane przez Związek Pracodawców Polska Miedź.

23.03 Złotoryjski klub piłkarski stworzył nowy herb, który ma mocniej kojarzyć się z naszym miastem.

25.03 w złotoryjskim Rynku odbyła się 8. edycja Wiosennego Jarmarku Świątecznego.

29.03 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury Powiatowy Urząd Pracy w Złotoryi zorganizował targi pracy.

 **Opracował Jarosław Jańta**



Śladami noblisty

Prusice to spora wieś licząca nieco ponad 600 mieszkańców. Jest malowniczo położona i wręcz nasycona zabytkowymi obiektami. Jedną z jej atrakcji są kwitnące wiosną sady, urzekająco piękne na tle wiosennego nieba. Mieszkańcy kochają swoją wieś, która z roku na rok staje się coraz piękniejsza dzięki nowym dobrym drogom i sukcesywnie odnawianym starym domom.

Poprzedni mieszkańcy – Niemcy – też kochali swoją wieś Prausnitz. Niestety, w obliczu nadciągającego frontu drugiej wojny światowej musieli ją opuścić w lutym 1945 roku. Jeszcze tylko, przy zbliżających się odgłosach artylerii, ochrztili w kościele dwójkę ostatnio urodzonych dzieci, po czym rozpoczęli szaleńczą ucieczkę przed śmiercią pod nalotami rosyjskich bombowców. Temperatura powietrza dochodziła do dwudziestu stopni mrozu, drogi były zaśnięzione i oblodzone, pełne uciekinierów i kolumn wojskowych*

Trzy miesiące później do wsi przyjechali pierwsi polscy osiedleńcy.

Wypędzeni niemieccy prusicy znaleźli dla siebie nową ostoję, jednakże przyszło im żyć w rozproszeniu. Z czasem nawiązała z sobą kontakt. Zapewne często rozmawiali o swojej rodzinnej wsi, wspominali najpiękniejsze chwile, tęsknili za ojczyzną. Wtedy ktoś z wypędzonych wpadł na pomysł, żeby napisać wspomnienia o szczególnych latach w Prausnitz. Aby nic nie zostało zapomniane.

Tak narodziły się *Kroniki Prusickie (Chronik von Prausnitz)*.

– Pochodzę z Gniezna, w Prusicach mieszkam od dwunastu lat i jestem aktywną

członkinią Stowarzyszenia na Rzecz Wsi Prusice, które zajmuje się przede wszystkim zabezpieczaniem naszych zabytków i rozpowszechnianiem o nich wiedzy. Wiele lat temu połknęłam bakcyla tropienia historii obiektów zabytkowych, więc taka działalność to dla mnie spełnienie marzeń – zaczyna swoją opowieść Dorota Bocheńska. – Dlatego teraz, gdy w moich rękach znalazły się *Kroniki Prusickie*, byłam po prostu szczęśliwa. Oto trzymałam w dłoniach niezwykłą rzecz: książkę, pamiętnik – kronikę. Oryginalną!

W posiadaniu Stowarzyszenia na Rzecz Wsi Prusice znajdują się cztery tomy *Kronik Prusickich*, z których pierwszy został napisany w roku 1994, a ostatni, czwarty w 2006 (tom trzeci poprawiono w 2007). Kroniki mają wielkość formatu A-4, napisane na maszynie do pisania (dwustronnie), każdy tom to około 70-100 stron, oczywiście w języku niemieckim. *Kroniki* zawierają wspomnienia dawnych mieszkańców Prusic (wymienia się ich imiona, nazwiska oraz adresy), są tu też mapki i plany miejscowości oraz zdjęcia z tamtych lat, a także współczesne. Całość została wydana nakładem własnym byłych prusyczan.

Pani Dorota nie potrafi ukryć wzruszenia, gdy opowiada, jak w trzecim tomie *Kronik* natrafiła na nazwisko Hauptmann. Gdy przyjrzała się tekstowi dokładniej, odkryła, że chodzi o **TEGO Gerharta Hauptmanna!** Pomyślała, że to odkrycie może być jeszcze jedną atrakcją nie tylko Prusic, ale całej ziemi złotoryjskiej.

Gerhart Hauptmann (1862-1946), niemiecki dramaturg i powieściopisarz, otrzymał literacką Nagrodę Nobla w 1912. Był mocno związany z Dolnym Śląskiem. Początkowo mieszkał wraz z ojcem w Szczawnie-Zdroju, a po europejskich podróżach i kilkuletnim życiu w Berlinie przeprowadził się do Jagniątkowa, gdzie zamieszkał w niezwykłym domu, któremu nadał miano *Łąkowy kamień (Wiesenstein)*.

Wspomnienie o Gerharcie Hauptmannie znajduje się na stronach 20-21 w trzecim tomie *Kronik Prusickich*. To sporo, zważywszy na to, że ogół wspomnień dotyczy głównie spraw bytowych mieszkańców. Świadczy to o tym, że byli oni po prostu dumni ze swojego noblisty i przekonani, iż jego sława spadnie również na ich ukochaną wieś i przyda blasku ich wspomnieniom.

Naoczni świadkowie z tamtych lat opowiadają, że Gerhart Hauptmann pojawiał się w Prusicach niemal rokrocznie w latach dwudziestych i trzydziestych, przeważnie na wiosnę, ponieważ kochał naturę i prze-

piękną kwitnącą prusickie sady. Można sobie wyobrazić sensację, jaką wywoływały zawsze odwiedziny noblisty. Zapewne przyjazd poprzedzały niosące się przez całą wieś odgłosy silnika samochodu pisarza, który przyjeżdżał swoim autem. Zawsze parkował przy Stawie Kowali, stąd było już kilka kroków do domu nr 82, gdzie wynajmował kilka pokojów. Obok, pod nr 60 mieszkała jego siostrzenica, *dystyngowana* panna Ebert, dla której właściwie odwiedzał Prusice.

Wspomina Gerda Hoppe (po mężu Zemler), ur.1913, zam. w Heidenheim (Niemcy):

Jako dziecko czasem odwiedzałam tę dystyngowaną pannę Ebert i podziwiałam jej piękną pozytywkę. Ona mieszkała w domu naprzeciwko, pod numerem 60.

Pisarza nawet z daleka nie można było z nikim pomylić. Miał charakterystyczną wyniosłą sylwetkę i równie charakterystyczne bujne, lśniące-białe włosy zaczesane do tyłu, odstaniające wysokie czoło. Po przyjeździe uprzejmie witał się z mieszkańcami, zawsze zamieniał z nimi kilka słów, głaskał po głowach zawsze ciekawskie dzieci.

Wspomina naoczny świadek Gerhard Stein, ur. 1913, zam. w Rosskof /Brandenburg nad Hawelą (Niemcy):

W Prusicach, pod nr 60, w domu przy Stawie Kowali u pani Luisy Friedrich mieszkała siostrzenica Gerharta Hauptmanna, panna Ebert. Gdy byłem dzieckiem, uczyłem się ogrodnictwa w Pielgrzymce w latach 1927-1930, więc mogłem obserwować, jak Gerhart Hauptmann prawie co roku przyjeżdżał do Prusic swoim autem, aby odwiedzić tę siostrzenicę. Samochód parkował przy Stawie Kowali, obok Paula Gierschnera. Szczególnie zwróciłem uwagę na jego bujne, lśniące białe włosy.

Od czasu do czasu rozmawiał z moim ojcem Erichem Steinem, zamieniali kilka słów, ale specjalnie nie byli zaprzyjaźnieni.

Dom, który wynajmował pisarz, był dość duży, stał na działce o powierzchni około jednego hektara. Od strony drogi widniał pięknie utrzymany ogródek kwiatowy, z tyłu sad, w którym rosło kilkadziesiąt drzew owocowych. Budynek miał dziewięć pokojów, piwnicę, składzik i własne ujęcie wody na podwórku.

W tamtych czasach wiele domów w Prusicach było obsadzonych różnymi pnąciami, winoroślami, nazywano je zielonym futrem domu. Budynek z obrośniętymi malowniczo ścianami przypominały widokówki z północnej Italii. Gerhart Hauptmann nie mógł być gorszy i zlecić usta-

wienie drewnianej konstrukcji przy ścianie szczytowej swojego budynku. Potem pewnego pięknego dnia zakasał rękawy i osobiście posadził kilka krzaków winorośli. Rośliny dobrze się przyjęły, kwitły obficie i pięknie ozdabiały budynek. Zapewne temu wydarzeniu przyglądało się pół wsi, by potem z dumą opowiadać o tym krewnym i znajomym odwiedzającym Prusice.

Wspomina Kurt Gumprecht, ur. 1924, zam. w Tambach-Diethartz/Turyngia (Niemcy):

Dom nr 82 w Prusicach należał do naszej rodziny. Był posadowiony przy drodze, między Materne nr 84 i John nr 80. Weszliśmy w posiadanie tego domu w 1939 roku, a do tego czasu należał do starych gospodarzy pewnej siostrzenicy, a także czasowo był wynajmowany śląskiemu pocięciu Gerhartowi Hauptmannowi.

*Działka nr 82 była dość duża. Od strony frontowej miała powierzchnię około 300 metrów kwadratowych, ogródek, a z tyłu aż do wzgórza Leunsberg** około 2500 metrów kwadratowych, ogród, 30-40 drzew owocowych. Od strony szczytowej jeszcze dziś rośnie winorośl posadzona przez Gerharta Hauptmanna.*

Dom miał dziewięć pokoi, piwnicę, składzik i własne ujęcie wody.

Mieszkała w nim rodzina Hildy Schulze z dwójkiem dzieci oraz nasza rodzina. Wcześniej najemcami byli: panna Brause, rodzina Schneider i panna Weiss, która była nauczycielką w Prusicach oraz dawała lekcje gry na fortepianie.

Gerhart Hauptmann odwiedzał Prusice najczęściej na wiosnę, gdy kwitły sady.

Droga ze Złotoryi do Prusic jest kręta, lecz niedawno wyremontowana równa i gładka nawierzchnia aż kuś, by rozwinąć większą prędkość. Jest 2 marca 2023 roku, oślepiając świeci słońce, więc jesteśmy z Dorotą Bocheńską przekonane, że to odpowiedni dzień na wycieczkę śladami **Gerharta Hauptmanna**.

Minęło prawie sto lat, gdy przyjeżdżał tu noblista i parkował przy Stawie Kowali. A teraz my też zostawiamy samochody w tym samym miejscu. Obecnie staw nie ma nazwy, a lustro wody jest mocno zarośnięte.

– O, to ten dom – pokazuje Dorota Bo-

cheńska.

Dziwne wzruszenie ściska mnie za gardło, gdy zauważam dom, który znam z *Kronik*. Ogłuszająco szczeka pies, z domu wychodzi starsza kobieta, uśmiecha się życzliwie i wpuszcza nas na obejście.

Budynek, w którym przemieszkiwał **Gerhart Hauptmann** teraz ma numer 95 i nosi ślady licznych przeróbek, jedynie bryła została taka sama. Część okien wymieniono na plastikowe, nieprzypominające starych, lecz sporo jeszcze zostało oryginalnych, z małymi szybami, w drewnianych zniszczonych ramach. Od szczytu część okien zamurowano. Obchodzimy dom dookoła, robiąc mnóstwo zdjęć. I oto naszym oczom ukazuje się szczytowa ściana domu oświetlona jaskrawym słońcem.

Na niej ze wzruszeniem zauważamy drewniane podpórki, po których pnie się winorośl, która na pewno pamięta ręce noblisty. Na razie pędy są bezlistne, ale można sobie bez trudu wyobrazić, jak latem liście ozdabiają całą ścianę, tworząc „zielone futro”.



Budynek, który wynajmował Gerhart Hauptmann - 1943 r.

drzew. Do tej pory rodzą owoce – opowiada pani Ewa. – O, a tu rośnie grusza poniemiecka, klapsa. Bardzo smaczna!

Moja wyobraźnia podsuwa mi obrazy Gerharta Hauptmanna, który podchodzi do drzewa, urywa gruszkę, ociera ją lekko i wgrzyza się w słodki soczysty miąższ. Potem idzie do sadu i sprawdza, jak obrodziły pozostałe drzewka owocowe.

– Zgodziłaby się pani na umieszczenie na posesji pamiątkowej tabliczki o fakcie odwiedzin noblisty? – pyta Dorota Bocheńska, a Ewa Pawlaczek zgadza się entuzjastycznie.

Z kolei ja oznajmiam właścicielce, że napiszę na temat naszej dzisiejszej wizyty artykuł też do „Echa Złotoryi” i pytam o zgodę na wymienienie jej nazwiska.

– „Echo Złotoryi”? – powtarza pani Ewa. – Proszę pani, ja mam wszystkie numery tego czasopisma, uwielbiam je! Czytam każdy numer od deski do deski. Oczywiście, że się zgadzam na artykuł. Przecież trzeba promować miejsca, w których przyszło nam żyć, prawda?

* Źródło: „Plan odnowy miejscowości Prusice” www.zlotoryja.com.pl/images/stories/file/Urząd%20Gminy/POM_Prusice.pdf

** Obecnie Kopczyna, wys. 257 m n.p.m.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję panu Alfredowi Michlerowi za przetłumaczenie tekstu na język polski, a pani Dorocie Bocheńskiej za wytropienie i udostępnienie tej niezwykłej historii. Również dziękuję mojej córce, dr Magdalenie Maruck za konsultację germanistyczną.

Agnieszka Młyńczak

cheńska.

Dziwne wzruszenie ściska mnie za gardło, gdy zauważam dom, który znam z *Kronik*. Ogłuszająco szczeka pies, z domu wychodzi starsza kobieta, uśmiecha się życzliwie i wpuszcza nas na obejście.

Budynek, w którym przemieszkiwał **Gerhart Hauptmann** teraz ma numer 95 i nosi ślady licznych przeróbek, jedynie bryła została taka sama. Część okien wymieniono na plastikowe, nieprzypominające starych, lecz sporo jeszcze zostało oryginalnych, z małymi szybami, w drewnianych zniszczonych ramach. Od szczytu część okien zamurowano. Obchodzimy dom dookoła, robiąc mnóstwo zdjęć. I oto naszym oczom ukazuje się szczytowa ściana domu oświetlona jaskrawym słońcem.

Na niej ze wzruszeniem zauważamy drewniane podpórki, po których pnie się winorośl, która na pewno pamięta ręce noblisty. Na razie pędy są bezlistne, ale można sobie bez trudu wyobrazić, jak latem liście ozdabiają całą ścianę, tworząc „zielone futro”.



Tak, to pnącze sadił pan Hauptmann, potwierdza mieszkanka, Ewa Pawlaczek. – Ja pochodzę z Kie-

lecczyn, zamieszkałam w Prusicach z rodzicami w 1946 roku, gdy miałam 4 lata. A w tym domu mieszkam od 1971, gdy wyszłam za mąż. Zawsze mieszkało tu kilka rodzin, a teraz wszyscy pomarli. Kilka razy odwiedzali nas poprzedni mieszkańcy tego domu, Niemcy, i opowiadali, że to pnącze sadił ten noblista niemiecki, pan Hauptmann.

Pani Ewa oprowadza nas po podwórku i pokazuje starą studnię, obecnie nieużywaną, zapewne to było *własne ujęcie wody*, o którym wspomina jeden ze świadków.

– A to jest ponemiecki sad, zostało sporo

nawet uhonorowany specjalną uchwałą KGHM mówiącą o siedmiowiekowej tradycji. Zapraszam do zapoznania się z opracowaniem.

Prezes Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych

Andrzej Kowalski

Kolebka śląskiej miedzi (cz. I)

Na Dolnym Śląsku złoża rud miedzi wydobywano i poddawano procesom pirometalurgicznym od średniowiecza. Na południe od Złotoryi na obszarze niecki leszczyńskiej, leżącej w depresji północno-sudeckiej na Pogórzu Kaczawskim, znajdował się ośrodek dawnego górnictwa i hutnictwa osadowych rud miedzi. Wąska niecka leszczyńska, określana również rowem tektonicznym, wypełniona jest skałami osadowymi takimi jak: piaskowce, wapień i margle miedzionośne.

Charakterystyka złoża

Osadowe złoża rud miedzi występują zawsze pomiędzy pstrymi osadami, przy czym wyłącznie warstwy szare i szarzielone są miedzionośne. Prawdopodobnie ta występuje również na omawianym obszarze. Niecka leszczyńska została utworzona podczas waryscyjskich ruchów górotwórczych, około 230 milionów lat temu w epoce górnego permu nazwanej cechsztynem. Obniżenie zostało zalane wodami morskimi tworząc niewielką zatokę. Na czerwonych piaskowcach dolnego permu, czyli czerwonego spągowca, osadziły się szare skały wapienne i margle. Marglami zostały nazwane wapień, zawierające od 50 do 75% domieszek itu. Leszczyńskie margle miedzionośne zawierają od 0,5 do 1,5% miedzi i tworzą osiem warstewek podzielonych słabo zmineralizowanymi wkładkami wapieni. Cały pakiet ma 2,8 m grubości. Okruszcowanie warstw nie jest jednolite, zdarzają się gniazda lub soczewy, w których zawartość miedzi dochodzi do 5%. Oprócz miedzi znajdują tu niewielkie ilości srebra, żelaza, niklu i manganu. Wymiary ziaren minerałów rudnych są niewielkie i wynoszą od kilku do kilkudziesięciu mikronów, na ogół nie przekraczają 40-50 mikronów. Na powierzchni margli tworzą się zielone i niebieskie naloty minerałów malachitu i lazurytu, które były wskazówką dla poszukiwaczy złóż miedzionośnych. Skały wapienne nakryte są czerwonymi piaskowcami arkozowymi i itami.

Górnictwo rud miedzi w rejonie niecki leszczyńskiej

Istnieją realne przesłanki wskazujące na wydobywanie i przetwarzanie złóż miedzionośnych na Pogórzu Kaczawskim w średniowieczu. Legenda głosi, że w I połowie XIII wieku we wsi Leszczyna, na stoku wzgórza Widawy [450 m n.p.m.] została wydrążona sztolnia, znana pod nazwą „Charakter”. Nazwa ta była podobno wryta wraz z wyobrażeniem dwóch skrzyżowanych rąk na kamieniu, umieszczonym u jej wylotu. Najazd Mongołów w XIII wieku spowodował na dłuższy czas upadek górnictwa, gdyż

rud metali na obszarze jego dóbr. Nie wiemy, jak potoczyły się zamierzenia właściciela Wilkowa, jednak wiadomo, że w późniejszych latach na tym obszarze rozwinęła się działalność górnicza. W 1429 roku w Złotoryi wytopiono 300 kg miedzi z rudy pochodzącej z okolicznych złóż, nie zachowały się jednak żadne informacje o kopalniach, z których ruda pochodziła. Kopalnie rudy miedzi znajdowały się w tym czasie we wszystkich wsiach leżących wokół niecki leszczyńskiej, to jest w Prusicach, Wilkowie,

Leszczynie i Kondratowie. Widocznie działalność górniczo-hutnicza była tak znaczna, że w połowie XVI wieku dla nadzorowania robót górniczych prowadzonych na Pogórzu Kaczawskim cesarz Ferdynand powołał górnistrza, który kierował urzędem górniczym, założonym w Racycach koło Chełmca. Ciągłość górnictwa potwierdza zapis z 1569 roku, w którym stwierdzono, że w urzędzie górniczym rozstrzygano spór o naruszenie granic pola górniczego pomiędzy dwiema kopalniami, znajdującymi się we wsi Prusice. Niewątpliwie cennym dokumentem jest sporządzona w 1625 roku mapa przeglądowa terenów górniczych w okolicy Złotoryi, na której zaznaczono wieś Prusice jako miejsce wybierania złóż kruszcowanych. Na omawianym obszarze po raz kolejny działalność górnicza zamarła na wiele lat w wyniku zniszczeń dokonanych podczas wojny trzydziestoletniej [1618-1648], która spowodowała spustoszenie na całym Pogórzu Kaczawskim, na przykład we wsi Prusice zachowało się tylko 8 gospodarstw z 22 istniejących tam przed wojną; podobnie było w innych okolicznych wsiach. Po wojnie długo brakowało ludzi i środków inwestycyjnych na uruchomienie starych względnie założenie nowych kopalń. Dopiero w latach trzydziestych XVIII wieku nastąpiła intensyfikacja robót

górniczych i hutniczych w rejonie wsi Leszczyna, zainicjowana przez barona Hochberga, właściciela wsi. Uporządkowano i udrożniono starą sztolnię „Charakter”, ponadto wydrążono po obydwu brzegach Prusickiego Potoku kilka dalszych sztolni. Największe znaczenie miała sztolnia „Leszczyńska”, wykonana poniżej sztolni „Charakter”. W 1740 roku kopalnia należąca do barona Hochberga, a zlokalizowana w masywie Widawy, udostępniła złoża czterema sztolniami i czterema szybami. Wydobytą rudę przetapiano w hucie usytuowanej w pobliżu kopalni. W 1756 roku nastąpiła znowu przerwa w działalności górniczej i hutniczej w niecce leszczyńskiej, i to na skutek zdewastowania kopalni i spalania urządzeń hutniczych podczas wojny siedmioletniej, w której Prusacy walczyli z Austrią o panowanie nad Śląskiem, W latach pięćdziesiątych XVIII wieku zamknięto również kopalnie w Prusicach. Pod koniec XVIII wieku ponownie zainteresowano się rudami miedzi w rejonie Leszczyny. Tym razem roboty były prowadzone na zlecenie władz pruskich i przez nich finansowane. Mimo ujemnych wyników finansowych nie zaprzestano wybierania złoża, gdyż zalegające w niecce leszczyńskiej rudy miedzi były ważnym źródłem zaopatrzenia w miedź pruskiej gospodarki wojennej. Wartość uzyskanej z dużym nakładem sił i środków niewielkiej ilości miedzi nie pokryła wydatków i do 1805 roku straty poniesione przez królewską kasę wynosiły 6327 talarów. Wkroczenie francuskich wojsk napoleońskich w 1806 roku na Śląsk położyło kres górnictwu miedzi. Przez następnych ponad 50 lat nie interesowano się złożami miedzionośnymi w rejonie niecki leszczyńskiej. W drugiej połowie XIX wieku margle miedzionośne w rejonie Leszczyny stały się znowu ważnym surowcem. W 1860 roku utworzone w Jaworze gwarectwo przystąpiło do budowy kopalni „Stilles Glück”, nazywanej w literaturze po 1945 roku jako „Ciche Szczęście”, która rozpoczęła działalność w 1863 roku. Ponownie wykorzystano stare sztolnie i wydrążono nowe. Złoża pokładowe margli miedzionośnych w kopalni Ciche Szczęście zostało udostępnione czterema krótkimi sztolniami o długości do 40 m, z których jedynie sztolnia Leszczyńska [Hasel] była głównym wyrobiskiem udostępniającym i transportowym, pozostałe sztolnie służyły do odwadniania kopalni. W kopalni pracowało kilkudziesięciu górników, a w szczytowym okresie ich liczba dochodziła do stu. Jednak w latach

Stolica Starego Zagłębia Miedziowego

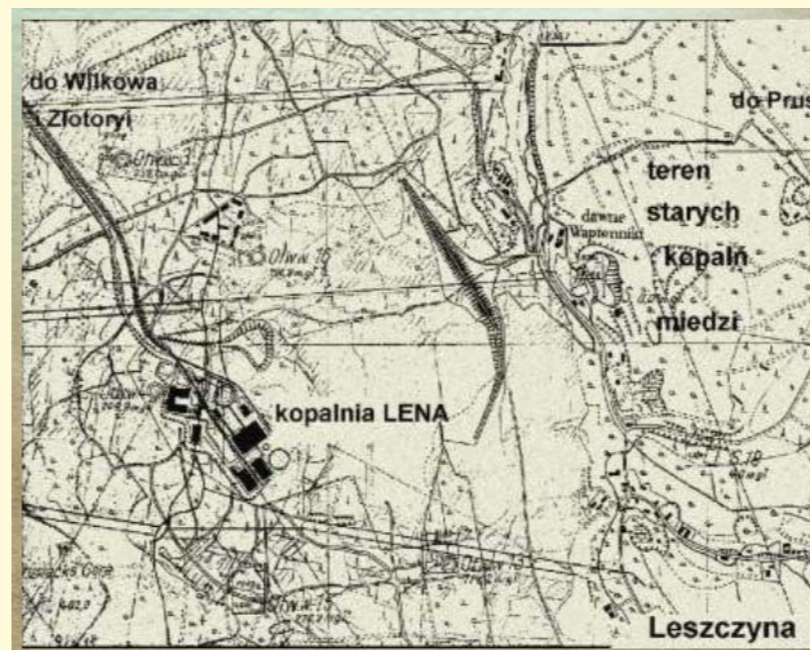
Począwszy od dzisiejszego numeru, pragniemy przedstawić państwu pracę powstałą na zamówienie Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych, stworzoną przez zaprzyjaźnionych z nim naukowców Państwa Eufrozynę i Zygryda Piątków, dotyczącą jakże bliskich nam miejsc, w których rozpoczęła się historia śląskiej miedzi. Użyte w tytule określenie „śląskiej” jest celowe, gdyż zawężenie tego zagadnienia do „polskiej” nie do końca oddałoby zamysł jaki towarzyszył autorom, przedstawienia historycznego bogactwa krainy, w której przyszło nam żyć.

Śląsk to region, który byłaby diamentem w każdej koronie. Na ogół nasza świadomość sięga czasów piastowskich, kiedy to około roku 990 prowincja została włączona do Polski. Zważywszy jednak na późniejsze wydarzenia, można sądzić, że polscy władcy nie poznali walorów tej ziemi. Gdyby tak było nie dopuściliby do przejęcia jej przez Czechów. Wprawdzie już, jakże dobrze znany nam z nadania praw miejskich Złotoryi, Henryk Brodaty usiłował scalić ziemie polski włączając w ich granice ziemie śląską, ale niestety śmierć jego syna Henryka Pobożnego pod Legnicą w 1241 r. zniweczyła te plany. Śląsk wówczas rozpadł się na kilkanaście księstw, co rzuciło cień na jego przyszłość, bo przez kilka następnych stuleci jego dzieje będą

burzliwe. Wydaje się, że dla Jagiellonów ziemia śląska stanowiła jeszcze mniejszą wartość. Grali nią niczym kartą przetargową, nie wiążąc z nią poważniejszych planów. Mimo że do XIV w. Śląsk opisywany był przez kronikarzy jako część Polski i większość zamieszkałej tu ludności posługiwała się językiem polskim, to nie uchroniło jej to przed władzą Habsburgów, panujących tu aż do czasów pruskich.

Śląsk stał się częścią Prus w roku 1740. Polska utraciła te ziemie i do zakończenia II wojny światowej nie miała większego wpływu, na to co działo się zwłaszcza na Dolnym Śląsku. Kiedy jednak ten po wojennej zawierusze wrócił, jak wówczas mówiono – do macierzy, żyło na nim nie mniej niż 13 nacji.

Dolny Śląsk został szczerze obdarzony przez naturę. W różnych czasach wydobywano tu złoto, srebro, bazalt, baryt, piaskowce, wapień, agaty, kamienie szlachetne i półszlachetne. Po raz pierwszy wzmianki o wydobywaniu rud miedzi pojawiają się w legendach i opowiadaniach z XII w., a pierwsze dokumenty pochodzą z wieków XIII i XIV, czyli z czasów Piastów Śląskich. W zasadzie od tamtej pory wszyscy kolejni administratorzy Śląska grzebali w ziemi z różnym nasileniem wydobywając jej skarby. Historia miedzi w pobliskiej Leszczynie liczy ponad 700 lat. Ten fakt został



górnicy razem z górnikami kopalni złota z pobliskiej Złotoryi brali udział w bitwie pod Legnicą w 1241 roku. Po bitwie wróciło jedynie trzech górników. Najstarsze przekazy pisane, dokumentujące działalność górniczą w tym rejonie, pochodzą z XIV i XV wieku. Właściciel Wilkowa z rąk księcia legnickiego Wacława, otrzymał w 1360 roku przywilej górniczy na poszukiwanie i wybieranie kruszców i

osiemdziesiątych XIX wieku ceny miedzi spadły do tak niskiego poziomu, że ekonomicznie nieopłacalną kopalnię zamknięto w 1883 roku. Tu godzi się zaznaczyć, że po tym okresie nie podjęto już prób wybierania tej części złoża, która zalegała na prawym brzegu potoku

nego w zakresie wzbogacania ubogich rud miedzi metodą flotacji, możliwą i ekonomicznie opłacalną będzie eksploatacja margli w niecce leszczyńskiej. Jednakże o podjęciu prac zdecydowało przede wszystkim rozporządzenie ministra gospodarki Rzeszy Niemieckiej o za-

W 1936 roku wykonano projekt kopalni, lokując ją na obszarze między Wilkowem a Leszczyną, na obszarze zalegającym na lewym brzegu Potoku Prusickiego. Projekt rozmieszczenia budowli jak i wystrój architektoniczny poszczególnych budowli zespołu przemysłowego nawiązywał do wówczas modnego w architekturze stylu konstruktywistyczno-funkcjonalistycznego. Nie zachował się projekt kopalni, lecz na podstawie pewnych przesłanek można przypuszczać, że wykonany został przez architektów wywodzących się ze szkoły „Schupp & Kremer”, wybitnych architektów zakładów górniczych i hutniczych w Niemczech. Podstawowym punktem przestrzennego układu przemysłowego była stalowa wieża wyciągowa, wokół której w sposób funkcjonalny zgrupowane były budowle w kształcie sześciątów o znacznej objętości. Budowle te miały stalowy szkielet konstrukcji nośnej ze ścianami z cegieł, charakterystyczną cechą były pionowo wydłużone prostokątne otwory okienne. Po uzyskaniu zgody ministra Rzeszy na realizowanie projektu przedsiębiorstwo górnicze „BUHAG” przystąpiło do zgłębienia szybu i budowy zakładu flotacji o wydajności 1500 t/dobę. Po wybuchu wojny, to jest po 1939 roku, zwiększono wydajność flotacji do 2500 t/dobę. Ponadto na obszarze kopalni wybudowano 3,5 km dróg dojazdowych. W latach 1937 i 1938 przy robotach poszukiwawczych i

badawczych, to jest przy kopaniu szurfów i drążeniu szybków badawczych, zatrudnionych było 306÷313 robotników oraz 30÷39 pracowników technicznych. Do końca 1939 roku zgłębiono 75 m szybu o średnicy 5,10 m, zaprojektowana głębokość wynosiła 220 m, w tym czasie

wydrążono również dwie upadowe z powierzchni do poziomu IV o długości 780 m w obudowie drewnianej oraz wykonano w pokładzie rudonośnym około 3000 m poziomych chodników badawczych. Do czasu wybudowania zakładu przeróbki mechanicznej miedzi przy szybie wydobywczym czynny był, dla przerobu urobku pochodzącego z drążonych chodników badawczych, pomocniczy zakład przerobczy z urządzeniami do flotacji przy upadowej I. Urobek w wozach, wyciągnięty upadową, podnoszono wyciągiem skośnym na poziom oddziału młynów i separacji, po wstępnej obróbce kierowana była do oddziału flotacji. W pierwszym roku przerobiono tam 16.642 ton urobku o zawartości średnio 0,73% miedzi, uzyskano 645 ton koncentratu zawierającego 15,4% miedzi. Odpady flotacyjne odprowadzano do cylindrycznego zbiornika, gdzie za pomocą flokulantów następowało ich zagęszczenie. W 1939 roku kopalnia zatrudniała 442 osoby, w tym 31 pracowników technicznych i administracyjnych. Na uwagę zasługuje fakt zatrudniania robotników przymusowych zarówno do prac na powierzchni kopalni jak i pod ziemią, i to od chwili rozpoczęcia robót górniczych. Baraki obozu pracy znajdowały się w bezpośredniej bliskości terenu kopalni. W latach 1940-1944 prowadzono dalsze roboty górnicze przy drążeniu szybu i upadowych, jak i prace budowlane przy wznoszeniu nowego zakładu przeróbki mechanicznej w pobliżu szybu wydobywczego. Szyb wydobywczozjazdowy Hegewaldschacht o średnicy 5,1 m w obudowie murowej wydrążono do głębokości 217 m [podszybie umiejscowiono na poz. 89 m n.p.m.]. Nad szybem postawiono 30 m wysoką stalową wieżę wyciągową jednozastrzałową z 4 kołami kierującymi w głowicy. Ponadto wybudowano budynek maszyn wyciągowych, cechownię i budynek administracyjny, warsztaty oraz magazyny. Roczne wydobycie kopalni wynosiło ok. 750 tys. ton rudy, po wzbogaceniu koncentrat rudy był wysyłany do huty w Eisleben [Saksonia], czasem i do innych hut niemieckich. Do końca 1944 roku z wydobytego w wilkowskiej kopalni urobku uzyskano 24.000 ton miedzi. W pierwszych dniach 1945 roku z powodu zbliżających się działań wojennych kopalnia została unieruchomiona, a w konsekwencji zatopiona.

Opracował
Andrzej Wojciechowski

Notgeld - pieniądz na trudne czasy



Notgeld, czyli niemiecki pieniądz zastępczy.

Podczas I wojny światowej władze rozpoczęły gromadzić zapasy metali szlachetnych, w tym również monet. Z tego powodu w kraju zaczęto brakować bilonu. Gminy, instytucje oraz przedsiębiorstwa dostały prawo emisji pieniądza zastępczego w formie banknotów. Na początku pieniądz zastępczy był zwykłą kartką panieru z urzędową pieczęcią oraz nominałem. Z czasem banknot zaczęto traktować jak widokówki, na których umieszczano różnego rodzaju widoki charakterystyczne dla danego regionu, kościoły, panoramy lub ważne wydarzenia z historii miasta – tak było

w naszym przypadku. W sumie w całych Niemczech opublikowano ok. 100 tys. rodzajów pieniądza zastępczego, a ostatni z nich wyszedł z użycia w 1924 roku.

Na awersie naszego złotoryjskiego notgeldu znajduje się godło miasta, zaś na rewersie scena przedstawiająca siedmiu mieszkańców, którzy przeżyli wielką zarazę w 1553 roku. Nominał banknotu to 25 fenigów. Wśród złotoryjskich kolekcjonerów znane są cztery rodzaje banknotów, które nie różnią się zbyt wiele od siebie.

Przemysław Markiewicz

Dobrze zainwestowane 1,5% Twojego podatku



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

1987-2023

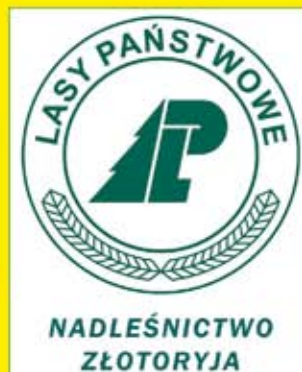
ECHO
ZŁOTORYI

- ✓ Koło Kresowian
- ✓ Klub Kolekcjonera
- ✓ Echo Złotoryi
- ✓ Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Księgarnia Internetowa
- ✓ Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba

GALERIA SPONSORÓW



BAZALT®



Lena

Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT

konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax +48 76 8783 212



VITBIS
szklane bombki choinkowe



grysy bazaltowe



- * płukanki
- * kolorowe
- * posypki
- * mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 073

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski + AI - Złotoryjskie krokusy

ECHO
ZŁOTORYI



Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

